
NAD PRZEPAŚCIĄ
przez
J. I. Kraszewskiego

NAD PRZEPAŚCIĄ

POWIEŚĆ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

LWÓW.
Księgarnia H. Altenberga
1887.



Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarz. J. Mittiga.

Jesteśmy w niewielkim domu murowanym, trochę zaniedbanym powierzchownie, którego główne wnijście zwrócone jest na ulicę Mokotowską, a droga wychodzi na zdziczały ogródek, drzewami zarosły, cienisty, smutny, bo w tej atmosferze miejskiej drzewa jakąś bolejącą przybierają postać.

Dzień jesienny, ale pogodny i słoneczny zbliża się ku wieczorowi.

Pierwsze piętro tej kamieniczki podupadłej, przybrukanej trochę, choć niegdyś stawianej nie bez starania o to aby przyzwoicie wyglądała — od lat kilku zajmował pan Aureli Żabiec, młodzieniec trzydziesto kilko letni, bardzo przystojny, bardzo huczno i wesoło żyjący.

Mieszkał on tu sam, z jednym starym, milczącym, na pozór ograniczonym, niezgrabnym, ale poważnym i bardzo uczciwym sługą. Znano Szymona Rzepskiego i szanowano go, bo choć ubogo się nosił, serce miał wielkie, a ze sługi wnosząc o panu, sądzono, że pan Aureli niezłym też człowiekiem być musiał.

Ci jednak co zblizka na życie pana Aurelego patrzyli, nie bardzo je zrozumieć mogli. Wiedziano tylko, że wesoło hulał, a hulanka ta przedłużała się już wielce nieopatrznie przez lat tyle, że za

lada dzień koniec jej przepowiadano. Tymczasem trwała wbrew wszelkim przewidywaniom.

Były w niej wprawdzie pewne paroksyzmy, przypływy i odpływy, wypoczynki i wybuchy, ale radykalnej zmiany dotąd się niedopatrzono.

Żabiec płacił za zajmowane pierwsze piętro nie zawsze regularnie, opóźniał się czasami, ale właściciela kamienicy poił i karmił, ściskał i całował, a w końcu mu się uiszczał.

Że miał na mieście długi, o tem przekonywały nadchodzące rachunki, listy i osoby interesowane skarżące się na pana Aurelego.

Dotąd jednak katastrofy potrafił uniknąć, a że był młody, bardzo przystojny — ba, nawet piękny i przezywano go Antinousem — śmiały nadzwyczaj, wymowny, a miał wielką ufność w siebie, wróżono różnie. Większość głosowała za tem, że — da sobie radę!

Kto był ów pan Aureli Żabiec, nie godziły się chodzące pogłoski. Syn bogatego niegdyś obywatela, mówili jedni, syn majętnego mieszczanina czy bankiera, utrzymywali drudzy; przyszły spadkobierca jakiegoś miljonowego majątku, podszeptywali najlepiej uwiadomieni.

Można było z tych sprzecznych wnosić plotek, że nikt na pewno nic nie wiedział. Nie wiele to kogo zresztą obchodziło, gdy Żabiec w każdem towarzystwie zalecić się i miłe przyjęcie pozyskać sobie umiał, zjednać sympatję, a młodzież obojej płci czarował.

Uderzało to jednak, że Żabiec nigdy o rodzinie swej nie mówił, nikt się do niego nie zgłaszał. O krewnych, powinowatych w kraju, w którym wszyscy niemal są z sobą powiązani, nie wspominał. Była w tem jakaś tajemnica. Pytany niedyskretnie, z jakich stron pochodził, odpowiadał śmiejąc się:

— Ja? jestem obywatel świata!

Odznaczał się tem pan Aureli, że wszędzie gdzie dłużej był, rej wodzić musiał, a gdzie nie mógł być pierwszym, tam bywać nie lubił. Młodzież zaciągała się, można było powiedzieć, pod jego sztandary; obejmował nad nią komendę, a umiał się tak obchodzić, iż go wynoszono pod niebiosa.

Nigdy go nikt nie widział zajmującego się czemś poważniejszem: albo hulał, albo się do hulanki przygotowywał lub po niej wypoczywał.

Pić, jeść, wesoło czas spędzać, noc przy kartach i winie przesiedzieć, zdawało się być jedynym celem życia pana Żabca. Towarzysz z niego dla przybywających do Warszawy, ażeby się tu rozerwać — był nieoszacowany. Znał miasto i ludzi na palcach. Wiedział gdzie co dobrego można było wypić lub przekąsić, był w przyjaznych stosunkach ze wszystkiemi wesołemi kumoszkami, a gospodarzem do zabaw niezrównanym.

Z jego powodu i w jego przytomności nigdy do żadnej awantury nie przyszło, w towarzystwie najsztywniejszem i najswobodniejszem do tonu

jego doskonale się nastrajał. Nie zbywało mu ani na dowcipie, ani na wykształceniu, mówił kilku językami z łatwością, dotrzymał placu każdemu, był oprócz tego wypróbowanej odwagi, bez brawury i kazał się szanować.

Uczynny wielce osobą swą i wpływem, służył chętnie, pieniądzmi tylko nie mógł, ale nie zapożyczał się też natrętnie u nikogo. Umiał zawsze wyszukać sobie środki jakieś tajemne odżywienia się, lichwiarzy, kredyt, a raz pieniądze dostawszy, obchodził się z niemi nader pańsko.

Po domach, w których bywał, znała go służba ze szczodrobliwości i nadskakiwała w przedpokojach.

Widziano go grywającego grubo, przegrywającego znaczne sumy wesoło i bez niecierpliwości, ale się to trafiało rzadko.

Dom pana Aurelego był na kawalerskiej stopie, ale osobliwego autoramentu, bo pan Aureli dawał objady i wieczerze, przyjmował czasem po kilkanaście osób. Miał do tego umówionego restauratora. Nie często zmagał się na te zapraszania, ale raz mając gości u siebie, „podejmował ich,“ wyrażając się po warszawsku z całą gościnnością, poczynając od drogiego kawjoru, do najwyszukańszego likworu poobiedniego.

Stół był wytworny, wina doskonałe, służba najęta, bo w dni powszednie stary ów Szymon Rzepski, małomowny, chodzący powoli, nie bardzo zgrabny, sam jeden za wszystkich starczył.

Pomimo wszystkich swych towarzyskich zalecających go przymiotów, które go na żeniącego się kawalera kwalifikowały, pan Aureli jakoś wcale nie starał się żenić i nie zdawał myśleć o tem. Żył wesoło z dnia na dzień, ot tak — bez innego celu nad używanie świata, póki służą lata!!

Od niejakiego jednak czasu najbliżsi jego znajomi i przyjaciele, dostrzegali w nim pewnej zmiany. Wśród najbujniejszego wesela miewał chwile, jakby osłupienia, zadumy, po których z nową gwałtownością wybuchał; czasami tracił poczucie taktu i miary, które go dawniej odznaczało.

Domyślano się, że wierzyciele naciskali. Życie jednak dotąd nie zmieniło się w niczem, mniej tylko często przyjmował u siebie w domu, a więcej przesiadywał po tych przytułkach gastronomicznych, których charakterystyka doskonale mu była znaną. Gdy pierwsze nadchodziły ostrygi, nigdy on na nie się nie spóźnił.

Pomimo tych przelotnych chwil zdrętwiałości, w ogóle pan Aureli objawiał ten humor i lekceważenie trosk powszednich, które go czyniły tak miłym w towarzystwie i teraz się nie zmieniwszy.

Dnia tego Żabiec powrócił do domu wcześniej niż zwykle, był to w kalendarzu czwarty września, wigilja św. Wawrzyńca. Rzepskiego, który nigdy się na długo nie zwykł był oddalać, od rana w domu nie było.

Wchodząc pan Aureli, stróżowi na dole objawił, ażeby nie wpuszczał nikogo i odprawiał tem, iż go nie ma...

Powróciwszy na górę, drzwi zaraz na klucz spuścił; rzucił kapelusz i palto, wdział szlafrok i padłszy na fotel w sypialni, długo nieruchomy tu przesiedział.

Obcego człowieka, któryby wszedł do tego kawalerskiego mieszkania nie dawno dosyć eleganckiego, stan jego obecny musiałby uderzyć.

Nieład w nim panował straszny, jakby spiesznie wszystek sprzęt potrzeba było oczyścić i zbadać...

Poodsuwane szufladki, poroztwierane szafki, rozrzucone papiery, wydobyte z kątów pudełka, walały się tu i ówdzie... Kieszenie nawet surdutów powywracane, świadczyły, że je rewidowano.

Nigdzie jednak nie widać było żadnych przygotowań do podróży, ani tłumoczków i pakunków.

W sypialnym pokoju na kominku spora kupka popiołu ze spalonych papierów, zajmowała tak wiele miejsca, iż się nadzwyczajnego *auto da fe* domyślać było można.

Żabiec, trzydziestokilkoletni mężczyzna, regularnych i posągowo pięknych rysów twarzy, słusznego wzrostu, figury kształtnej, z włosami ciemnemi, nieco już przerzedzonemi, ale w pukle się zwijającemi — chodził teraz po sypialni zadumany, chwytając i rzucając co mu pod rękę wpadło. Twarz miał na swój wiek wyżytą, zmęczoną, przedwcześnie więdnąć poczynającą, choć

w oczach pałał jeszcze ogień młodzieńczy... Wypisanem było na niej to co lekarze zowią: *vita lauta*, ale sił jeszcze zachowało się wiele, choć ochoty do życia zdawało braknąć.

W pokoju, po którym przechadzał się jakby tu coś jeszcze przypomnieć sobie usiłował, dwa portrety na ścianie przy łóżku zwracały uwagę...

Jeden z nich mały, w owalu, wystawiał młodziuchną panienkę w stroju jakby z przed lat jakich trzydziestu — wybitnie arystokratycznej piękności, z wyrazem wypieszczonym, rozmarzonym i smutnym. Sparta na białej rączce, zasłonką białą, przezroczystą, gazową obrzucona, przypominała znany wizerunek Angieliki Kaufman.

Biedna ta istota, młodziuchna a tak smutna, zdawała się jakby przyszłość przeczuwać bolesną i zawczasu się nią trwożyć. Pączek róży nie rozwinięty a już zwiędły, leżał przy niej... Śliczną była z tą swą tęsknotą, wdziękiem dziewiczym i idealnym wyrazem oblicza...

Drugi portret znacznie większych rozmiarów, uderzająco był podobnym do p. Aurelego i musiał wyobrażać jego ojca. Były to też same rysy, ten sam wyraz odwagi i wiary w siebie, ta sama szlachetność fizjognomij, ale ogół mniej sympatycznym, zuchwalszym się zdawał — coś szorstkiego od niego odstręczało. Można było zgadywać, że człowiek ten walczył z ludźmi, ale niepodobna rozwiązać czy z boju wyszedł zwycięzko.

Chodząc po sypialni Żabiec kilka razy stanął przed wizerunkiem ojca, parę razy popatrzył na portret, w którym walki się można było domyślać...

Na stoliczku leżał list pomięty. Aureli chwycił go niecierpliwie do ręki, chociaż był już czytany i odczytywany, przebiegł raz jeszcze oczyma, których brwi się ściągnęły, i rzucił gniewnie do komina. Nie było w nim ognia i papier zanurzył się w ulatujących popiołach. Po namyśle p. Aureli zapalił siarniczkę i podłożył ją pod list wyrzucony, stojąc przy nim i pilnując aby się dopalił cały, był nawet tak ostrożnym, że szczypcami niedogorzałe dobył szczątki, i trzymał je dopóki nie spłonęły.

Powrócił potem do stoliczka przy łóżku. Z szufladki jego dobył mały kieszonkowy rewolwer i obejrzawszy go położył na nim. Na talerzyku wprzódy już przygotowanym leżało kilka kawałków cukru i flaszeczka stała malutka z przeroczystym płynem, niewinnie wyglądającym jak woda.

Flaszeczkę tę naprzeciw światła potrzymawszy Żabiec, z uśmiechem położył na talerzu ostrożnie i troskliwie. Spojrzał na zegar wiszący na ścianie, ale ten w niebytności Rzepskiego, nie nakręcony, stanął na trzeciej i spoczywał.

Prawie bezmyślnie robi c te jakieś przygotowania, z obojętnością zupełną, pan Aureli ziewnął i jakby się chciał raz jeszcze ze swem mieszkaniem pożegnać — obejrzeć je — ręce włożywszy w kieszenie, wolnym krokiem szedł do pokojów

które na przestrzał stały otworem. Kilkanaście różnej wartości obrazów i szkiców rozwieszonych było po ścianach saloniku i gabinetu.

W kątku jednym, widać było mały krajobraz szwajcarski, naszkicowany śmiało, niewykończony, ale widocznie schwycony z natury.

Wyobrażał on mały szalet, wśród kwiecistego ogródka, nad brzegiem jeziora. W dali piętrzyły się i mglisto występowały góry, których wierzchy śnieg okrywał.

Malarz w dali między klombami, rzucił jakby dla ożywienia, postać niewieścią w białej sukience, ale zwróconą ku jezioru, tak że tylko ogólne jej kształty na ciemniejszem tle występowały.

Aureli przybliżył się do obrazka, pochylił, wpatrzył i twarz jego przybrała wyraz zupełnie jej nie zwykły jakiegoś rozrzewnienia. Ale zaledwie on na nią wystąpił, gdy Żabiec cofnął się, wtrząsnął cały, rozśmiał się szydersko i szybko odwrócił. Spojrzał raz jeszcze zdala na obrazek i skierował na powrót do sypialni, jakby od niego uciekał.

Stanął przy łóżku, które było nie posłane od rana, zdawał się chcieć położyć na niem, gdy — w przedpokoju, nieśmiałą ręką poruszony dzwonek, dał się słyszeć.

Z początku uszom nie wierzył Aureli, bo stróżowi zakazał kogokolwiek bądź wpuszczać na górę. Musiała to być więc chyba jaka omyłka, ale dzwonek poruszył się raz drugi.

Żabiec zmarszczył się groźno. ale iść sprawdzić kto dzwonił, nie myślał wcale. Gniewało go to tylko. Na dworze zaczynało zmierzchać.

Po krótkiej chwili dzwonek, zawsze równie bojaźliwie i nieśmiało, poruszył się — raz trzeci.

Pan Aureli był po trochu fatalistą. Zadumał się nieco i, po krótkim namyśle, krokiem powolnym, jak stał na wpół rozebrany powlókł się mrucząc do przedpokoju.

Dzwonek w nim zawieszony drgał jeszcze, choć już żadnego nie wydawał dźwięku.

Zwolna odsunął rygiel i z twarzą kwaśną zabierał się już coś niegrzecznego powiedzieć tak natarczywie dobijającemu się natrętowi — gdy przed sobą ujrzał — ubogo, ale bardzo starannie ubraną, bladą, zwiędłą, wychudłą kobietę — której wiek czynił ją rówieśnicą jego... Musiała mieć też lat przeszło trzydzieści. — Smutny, ale nadzwyczaj sympatyczny wyraz jej twarzy, która niegdyś musiała być bardzo piękną — miał jeszcze urok ku niej pociągający.

Pomimo ubogiego ubrania, coś szlachetnego, coś niepospolitego nadawało tej postaci indywidualną cechę i jakąś godność, obudzającą poszanowanie. Wśród tysiąca musiałaby na siebie zwrócić oczy . . . i wywołać pytanie — kto to może być taki?

Milcząc, kobieta stojąca w progu, cała chustką wielką osłonięta, z rękami na piersiach złożonemi, zwróciła oczy na Aurelego, który pobladł, zmięszał

się, ale nie zdawał się być pewnym czy poznał przybyłą, czy go podobieństwo jakiemś widmem przeszłości łudziło.

W tej właśnie chwili, ta postać była zjawiskiem tak dziwnem, że Żabiec w istocie mógł ujrzawszy ją, osłupieć.

Nikt w świecie nie wiedział, ani się mógł domyślać, co zamierzał — więc chyba los, chyba Bóg, jakaś wyższa władza mogła tu zesłać to widzenie przeszłości...

Wahał się jeszcze Aureli, gdy cichy głos usłyszał.

— Salomea...

— Salusia!! — wykrzyknął Żabiec — ty! tu! Salusia!! Zkądże? jak?

Wyrazy mu zamarły na ustach — machinalnie otworzył drzwi szeroko, kobieta wsunęła się krokiem powolnym i nieśmiałym.

— Tak — ja to jestem — odparła głosem spokojnym, nie objawiającym wzruszenia. — Ja... ale od lat kilku mieszkam w Warszawie...

— Od kilku lat! tutaj! podchwycił zdziwiony Żabiec — a ja się dopiero dziś o tem dowiaduję!!

— A pocóż ja się wam miałam narzucać — poczęła kobieta — ja wam żadnej pociechy przynieść nie mogłam, a wy mnie też byście pomódz nie potrafili. Każdy los swój dźwigać musi, a Bóg jest nad wszystkiemi.

Ze spokojną rezygnacją dokończywszy tych wyrazów, powiodła wzrokiem po mieszkaniu. Aureli stał zmięszany, nie mogąc jeszcze wyjść z podziwienia.

— Jakimże sposobem — odezwał się pomilczawszy, — właśnie dziś pomyślałaś przyjść do mnie — właśnie o tej godzinie!!

— A! — powoli mówiła ciągle się oglądając blada kobieta — a! ja bo już od dawna wybierałam się przyjść dowiedzieć, co się też dzieje z wami, ale się nie składało. A dziś? — no, ja sama nie wiem, pomyślałam sobie przechodząc tędy, — spróbuję. Posłuchałam jakby jakiegoś wewnętrznego głosu. No, i szczęśliwie się powiodło, że pana Aurelego zastałam.

Obejrzała się dokoła.

— Ale cóż to tak wygląda, jakby się pan czy w drogę wybierał, czy nie było komu porządku zrobić od rana?

Na tę uwagę nie odpowiadając, Żabiec ciągle zatopiony w myślach — odparł zapytaniem nowem.

— Stróż na dole miał odemnie rozkaz nie puszczać nikogo.

— Na dole stróża nie spotkałam, odpowiedziała kobieta — no — i dobrze się stało.

Oczy przybyłej z macierzyńską niemal jakąś czułością wpatrywały się w pana Aurelego i to co go otaczało, jakby pragnęła życie jego, położenie, uczucia odgadnąć. Wejrzenie to zmięszało go wi-

docznie — kobieta po chwili badania, wyczytawszy niepokój w twarzy Żabca, westchnęła.

— No — i — jakże wam na tym świecie! co porabia p. Aureli — spytała, oczyma ciągle rzucając dokoła.

Zapytanie to wywołało grymas na twarzy pana Aurelego.

— A! co tam o mnie mówić — odparł — niech mi panna Salomea powie lepiej o sobie... Co panna tu porabia?

Obojętnie poruszyła ramionami kobieta i spuściła oczy. Wyraz boleści, jaka się na jej licu wypiętnowała, odpowiadał za nią, ale ta miała już czas zastygnąć, a ona się z nią zżyć i oswoić — stała się chroniczną.

— A! o mnie mówić nie warto — odezwała się spokojnie. — Kobiece losy łatwo odgadnąć! Mój los musiał być taki, jak wszystkich istot mnie podobnych. Śniło się coś, śniło, potem sen opłakało, serce sobie zastygło i bieda nauczyła się modlić. Pracuję, modlę się — no — i jestem spokojna!

Patrząc na gospodarza i tego niespodziewanego gościa, słuchając nawet rozpoczętej rozmowy, trudno było odgadnąć jaki stosunek mógł z sobą łączyć te dwie istoty, nie jednakiego pochodzenia, wychowania i stanu.

Przybyła panna Salomea, chociaż bardzo poważna, szlachetnego oblicza i postaci, należała widocznie do warstwy społeczeństwa, żyjącej z pracy

z dnia na dzień. Charakter uszlachetniający nadawała jej siła ducha i w tej chwili objawiająca się spokojem.

Aurelego obejście dowodziło spoufalenia, ale nic więcej nad to. Lat kilka mieszkająca w Warszawie panna Salomea nie czuła potrzeby zgłaszać się do niego, a on nic o niej nie wiedział i nie zdawał się troszczyć?

Mało co więcej nad lat trzydzieści liczyć mogąca panna, ze śladami niepospolitej ale przekwitłej piękności na twarzy, o której zachowanie wcale się już nie starała, zdawała się jakby ze światem rozbrataną i ostygłą.

Milcząc stali tak chwilę naprzeciw siebie — panna Salomea z coraz żywszą ciekawością rozpatrywała się nietylko po pokoju, w którym stali, ale wzrokiem sięgała dalej. Twarz jej poruszenie jakieś odżywiło.

Aureli nie zapraszał jej dalej — był zmięszany, pogrążony w sobie, niepokój jakiś go ogarniał, można było sądzić, że się chciał pozbyć przybyłej, a nie wiedział jak to począć.

Tymczasem z poufałością domownika, który nie potrzebuje ani zaprosin, ani pozwolenia, panna Salomea podchodziła coraz dalej i oczyma śledziła pilnie.

— Ale ja przecież muszę zobaczyć, jak pan tu mieszkasz! — odezwała się. — Sam jeden, gdzież służba?

— Służba ? ale ja nie mam nikogo, oprócz starego Rzepskiego... sługi to nieprzyjaciele i szpiegi — odparł rzeźko Aureli — Rzepski od rana gdzieś... za interesem..

Panna Salomea, nie dając się pozbyć siebie, szła dalej ciągle, widać było, że jakieś obudziło się w niej podejrzenie, że rada była je sprawdzić... Zwolna kierowała się ku sypialni...

Żabiec się zmarszczył; przypomniał sobie zapewne leżący przy łóżku rewolwer... i drogę ku pokojowi temu zahamował...

— Niech panna Salomea usiądzie i odpocznie — rzekł żywiej — ja tymczasem światło zapalę, bo zaczyna w pokojach być ciemno...

Przybyła, rzuciła okiem na Żabca i z udaną obojętnością, na pierwszem krześle jakie się wysunięte znalazło, usiadła — cała w myślach jakichś, zadumach, ale razem zaniepokojona tem na co patrzała, a wytłumaczyć sobie nie mogła.

Aureli drżący, gniewny prawie, pospieszył do sypialni, szukając co prędzej zapałek, nie mogąc ich znaleźć, mrucząc i rzucając się po pokoju... Wszystko mu się nie składało. — Panna Salomea krótką chwilę posiedziawszy, podniosła się i wprost poszła za nim, nie miał czasu zatrzymać jej w progu...

I tu oczy jej naprzód obiegły dokoła. Nic im nie uszło; ani popiół, nagromadzony w kominie, ani rewolwer, którego Żabiec nie miał czasu schować, ani cukier i maleńka flaszeczka, po którą

sięgnął był ręką właśnie za późno, — ani powysuwane szuflady i porozrzucane rzeczy...

Brwi się ściągnęły przybyłej.

— Czego pan tak szukasz! — odezwała się. — Ja mam zawsze zapałki przy sobie.

To mówiąc obejrzała się szukając świecy, zobaczyła niedopaloną na małym stoliku i natychmiast ją zapaliła. Aureli stał niemy, czuł, że oko przybyłej kobiety wyczytać może wszystko co przed niem rad był utaić.

Panna Salomea nie wychodząc już z sypialni, usiadła tu na krześle.

— To prawda — odezwała się głosem, w którym teraz brzmiało wzruszenie — iż dziwnem zrządzeniem znalazłam się tu dzisiaj.

W istocie może głos jakiś wewnętrzny popchnął mnie tutaj, a stróża... jakaś siła z drogi mojej uprzątnęła...

Podniosła oczy na Aurelego.

— Do tego więc pan doszedł! do tego! — i załamała ręce. Pan myślisz, że ja nie widzę, nie rozumiem, że możesz mi.... wytłumaczyć się lada czem?!

Na bladą twarz Zabca wystąpił przelotny rumieniec i gorzki uśmiech.

— Ani się tłumaczyć nie myślę — zawołał żywo — ani zaprzeczać!.... Jedna rzecz mi się w głowie pomieścić nie może, jakim cudem panna Salomea się tu dziś. teraz, na tę godzinę znalazła?

— Tego ja tak dobrze nie rozumiem, jak pan Aureli, odpowiedziała kobieta uspokajając się — widzę w tem tylko palec Boży i wskazówkę mojego obowiązku.

Trudno mnie, prostej kobiecie, chcieć człowieka takiego jak pan, przekonywać i nawracać, ale....

Popatrzyła na niego. Stał osłupiały.

— Ale jakże do tego przyszło? — przerwała milczenie kobieta. — Przyznam się panu, że nie raz spotykałam starego Rzepskiego i pytałam go o pana, odpowiadał mi zawsze: — co ma być! żyje jak żył – i po wszystkiem...

Więc to życie tak się marnie miało skończyć!? — dodała.

Aureli milczał, wyraz desperacki zmienił twarz nawykłą do kłamania i układania się.

— A jakże się każde inne życie kończy? — podchwycił gwałtownie. — Czy panna Salomea z całym swoim kobiecym rozumem praktycznym lepiej wyszła? — Rozśmiał się szydersko.

— Naprzód, panie Aureli — rzekła spokojnie zapytana — ja rozumu nie miałam długo, powoli go nabywałam, a teraz... teraz nie rozum trzyma, ale pan Bóg i pobożność. Przebyłam drogę ciernistą, bo ona mi była przeznaczoną... a teraz... teraz? jestem spokojną... Wierz mi pan... modlę się i z tem mi dobrze!

Pan zamiast ciernistej drogi, wybrałeś kwiecistą — no — ot... do czego ona doprowadziła!

*

To mówiąc wskazała na stoliczek przy łóżku. Pan Aureli nie odpowiadając począł się przechadzać po sypialni.

— I to się nazywa męzka moc ducha! odwaga!

— Dajmy temu pokój — przerwał stając Żabiec. — Ja waszego życia nie znam, no, i nie pytam o nic, wy też mojego nie zrozumiecie...

— To prawda, z takim końcem trudno mi pańskie życie zrozumieć — odezwała się Salomea — boś pan miał do wcale innego środki i wyposażenie...

Nie mam prawa go badać...

— A ja nie potrzebuję się taić z niczem — począł Żabiec. — Znasz mnie od dzieciństwa, byłaś w domu naszym razem ze mną dorastając...

— Tak... i nawet pierwszą miłostką raczyłeś mnie, sługę waszą — zaszczycić — rozśmiała się panna...

— A odprawiłaś mnie tak, żem poszedł ze wstydem...

— Do innych — dokończyła panna Salomea.

Zamyślony chwilę milczał Aureli.

— Wierz mi pan — przerwała ciszę kobieta — że choć nie zakochałam się w panu, ale zachowałam dla niego do dziś dnia jakieś uczucie, którego nawet nazwać nie umiem. Myślałam nieraz — niepokoiłam się, ale mi się zdawało, że pan, pan.. z życia potrafisz wyjść zwycięzko.

Żabiec podniósł głowę.

— Cóż pani myślisz, że tak żyć, jak ja żyłem do lat trzydzieści kilku, aż do dnia dzisiejszego, nie jest sztuką? Nikt w świecie, nawet stary Rzepski się nie domyśla, ani tej flaszeczki ze strychniną, ani tego rewolweru, ani tego co mnie truje w duszy... Wczoraj jeszcze śmieliśmy się, pili i hulali z dobrymi przyjaciółmi, jak gdyby dziś się wszystko nie miało skończyć.

— Ale powiedzże mi pan, jak do tego przyszło — zapytała Salomea — czy nie ma już ratunku?

Żabiec potrząsnął głową.

— Ale po co, dla czego ja się mam ratować! — zapytał. — Co zyszczę na tej prolongacie, moja panno Salomeo, nowego już nic dla mnie na świecie ani kwitnie, ani pachnie, wszystko są zużyte, spowszedniałe, nudne rzeczy. Próbowało się — nasyciło, przesyciło — czas skończyć.

A! tak — powtórzył — nie ma co robić? czas skończyć. Znasz historję mojego ojca i moją? Prawdę rzekłszy, ja za niego pokutuję.

— No — a matki rodzina? — zapytała panna.

— Jak nie chciała znać nieboszczyka ojca, tak i mnie znać nie chce — rzekł Żabiec. — Do niej się zwracać — próżne upokorzenie, darmo. Trzymałem się na wodzie póki sił stało, a no czas pójść na dno...

Żabiec się począł przechadzać po sypialni milczący, a panna Salomea ścigała go oczyma.

— Powiadasz pan, żeś wszystkiego próbował — odezwała się — jako żywo, nie prawda. Ani pracować, ani się z losem pogodzić, nie próbowałeś nigdy.

Tak jak nieboszczyk ojciec, chciałeś iść przebojem...

Nie odpowiadając na to, Żabiec ze śmiechem przerwał:

— Daj pokój, panno Salomeo! Prawisz mi nauki, a sama, wyszłaś lepiej na zgodzie? Dość spojrzeć na twoją twarz i sukienkę... Cóż za życie prowadzisz? Wartoż tak żyć?

— Warto — odparła kobieta z zupełnym spokojem... — Nie mam potrzeby się przed panem Aurelim spowiadać z mojego życia — ale doprawdy, że miałabym ochotę do tego... bo i z niego naukę wyciągnąć można...

— Ciekawym! — rozśmiał się Żabiec...

Zarumieniona nieco Salomea głowę podniosła...

— Cóż? zawiedziona miłość — dodał — a potem... rezygnacja...

— Tak, ja się tego nie wstydzę — odparła kobieta. — Ucieczka do Boga, a teraz spokój w duszy... mogę powiedzieć, żem tak szczęśliwa jak nigdy nie byłam...

Poruszył ramionami Żabiec.

— Chciałabyś mnie na tę drogę nawrócić? — zapytał.

— Gdybyś pan miał na to siłę — poczęła panna Salomea — aleś pan ją podobno wyszafo-

wał całą na oszukiwanie samego siebie i ludzi... — a teraz na uratowanie się nie stało.

— Na miłość Bożą! — wybuchnął p. Aureli. — Cóż ja mam ratować? na co się to zdało!

— Pan nie jesteś mężczyzną — przerwała zimno kobieta — ale zestarzałem dzieckiem... Pamiętam, gdyś miał lat dziesięć, byłeś słowo w słowo tym co dzisiaj... Nie przybyło nic oprócz tego, że już ochoty do figlów nie stało.

Zmarszczył się p. Aureli.

— Masz mnie za tak bezsilnego? — zawołał — a wiesz co mnie kosztowało rozumu i pracy przez tyle lat się trzymać na wodzie i nieutonąć? Uchodzić za bogatego, zyskać u ludzi jaki taki szacunek, nie podać się w podejrzenie awanturnika... używać całą gębą — i...

— Narobiwszy długów, uciec się w ostatku do flaszeczki i rewolweru — przerwała kobieta. — A! niemasz się, zaprawdę, czem chwalić!

— Otóż mam — przerwał gwałtownie Zabiec, zwracając się i ręką wskazując na portret ojca. — Ten winien wszystkiemu — nie ja. Wychował mnie na takiego, jakim się stać musiałem... Po śmierci matki, którą ja ledwie pamiętam, trzeba było wyrzec się mrzonek, zapomnieć o przeszłości, darmo nie kołatać i nie żebrać, gdzie nic nigdy nie mogliśmy otrzymać — począć inne życie...

— Na to i dziś czas — zawołała panna Salomea.

— Nie — nie — zaprzeczył Żabiec — za-późno! Człowiek zmiękł, popsuł się, rozleniwiał a zresztą na życie się napatrzył i smak do niego stracił... Bierz licho resztę...

Zamachnął ręką rozpaczliwie...

Panna Salomea oczyma ścigała przechadzającego się.

— Nie mam innego wyjścia — począł po przestanku na wpół sam do siebie Aureli... — Długów mam po szyję, w karty mi się nie szczęści, zaprzedać się i ożenić dla grosza — nie mogę...

To mówiąc wskazał na małą flaszeczkę...

— A oto w tych kilku kroplach ratunek pomocny, jedna chwilka, jak piorun i wszystko skończone.

— Pan myśli? spytała Salomea — alboż to duszy i Boga nie ma? Na ostatek, choćbyś w nic wierzyć nie chciał, nie wiem czy przyjemnie zostawić po sobie pamięć dezertera, który zabrawszy co do niego nie należało — uciekł na tamten świat, bo go tam dogonić nie można!

Rozśmiała się smutnie.

Żabiec się zżymnął...

— No — więc cóż? co począć? — zapytał.

— Pan Aureli o to mnie potrzebuje się radzić! — odparła Salomea.

— Bo nie ma rady żadnej — zawołał Żabiec — i musisz to przyznać. Można mi czynić wymówki, że do tego terminu się doprowadziłem, ale raz

będąc w tem położeniu — nie mam wyjścia. powtarzam, nie mam wyjścia.

— Bo go nawet nie szukasz — poczęła kobieta... — Po latach tylu, żebyś pan nie znalazł środ ka przedłużyć...

— Co? konanie? — wybuchnął Aureli.

— Nazwij to jak chcesz — mówiła dalej panna. — Przedłużając, choć przykre położenie, mógłbyś zyskać czas do rozmysłu i do śmiałego zerwania z tem, co go doprowadziło nad przepaść... Zawrócić się zawsze pora... tak, ale na to trzeba męztwa, a i na tem panu zbywa — wolisz uciekać...

P. Aureli poczynał słuchać uważniej. I myśli i sposób wyrażania się panny Salomei coraz większe na nim czyniły wrażenie. Stawał i słuchał z uwagą.

— Słowo daję — odezwał się na ostatku — mnie pannę Salomeę poznać trudno. — Stałaś się taką wymowną!

Zakrawało to na szyderstwo, ale panna nie wzięła za złe tych słów i spojrzała mu w oczy śmiało.

— Ja tego o panu Aurelim powiedzieć nie mogę — odparła. — Powtarzam, zupełnie takim jakim go pamiętam, gdy miałeś lat dwanaście, pozostałeś do dziś dnia...

— Widzi panna Salomea — rzekł szydersko. — To przeciaż sztuka zachować się młodym...

— I przez lat tyle nic a nic się nie nauczyć, dorzuciła chłodno panna...

Żabiec nic nie odpowiedział. Nastąpiła chwila milczenia.

— Ale ja... ja tu niepotrzebnie się wcisnąwszy, — dodała po przestanku podnosząc oczy ku niemu — muszę w końcu odejść —, z wielkim smutkiem w duszy... Zostanie mi wspomnienie, żem pana zatruła wymówkami niepotrzebnemi...

Uczyń mi pan jedną łaskę!

Pan Aureli podniósł oczy...

— Nie mam ani nadziei, ani w sobie czuję siłę, żebym miała pana nawrócić, ale — daj mi tę flaszeczkę i rewolwer na cztery tygodnie, a tymczasem — myśl... próbuj, znajdziesz może wyjście jeszcze... jeżeli w istocie jesteś mężczyzną a nie starem dzieckiem...

Składać winę na ojca — a! panie mój, to bardzo łatwo, ale bardzo rzecz upokarzająca i smutna...

To mówiąc wstała panna Salomea i nie czekając odpowiedzi zbliżyła się do stoliczka, wzięła z niego flaszeczkę i rewolwer, które schowała do kieszeni. Aureli się nie sprzeciwiał.

— Masz pan miesiąc czasu — dodała błagająco rękę wyciągając ku niemu. Choć pan w nic nie wierzysz, ja dodam — modlić się będę na jego intencję.

Przekonaną jestem, że niedarmo mnie tu dziś los — nie los, ale wasz anioł stróż, sprowadził.

Przypadku nie ma na świecie... bo jest Opatrzność — wierz mi...

Żabiec milczał — a milczenie to było najwymowniejszą odpowiedzią.

Panna Salomea poczęła iść ku przedpokojowi, a że zmrok już zupełny padł w czasie rozmowy, Aureli świecę wziąwszy, nic nie mówiąc, przeprowadził ją aż do wyjścia...

Ta zwróciła się jeszcze ku niemu:

— Słowo? cztery tygodnie! — spytała.

Skłonił głowę p. Aureli i postawszy chwilę nad wschodami, zwolna do mieszkania swojego powrócił.

Gdy mu na wschodach we mroku znikła panna Salomea, Żabiec jeszcze chwilę stał bezmyślnie, nie wracając do mieszkania; zawrócił się potem z wolna i wszedł, drzwi już nie zaryglowując za sobą; dostał się aż do sypialni, gdzie lichtarz, silnie uderzywszy nim, na stoliku postawił, a sam rozśmiał się dziko, ręce na piersiach składając.

— Komedja! jak Boga kocham! — mruknął sam do siebie — komedja! Gdyby mi to kto inny opowiadał o sobie... nie uwierzyłbym! Przypadek! tak! przypadek... ale nie można zaprzeczyć że osobliwy w swoim rodzaju! — Stanął zadumany, patrząc w podłogę... i myślał:

— Ten stary szurgot — Salusia! ona mnie naukę moralną pali, a ja ją w pokorze ducha przyjmuję...

Zabiera mi strychninę, konfiskuje rewolwer, a ja posłuszny poddaję się i milcząc przyzwalam na cztery tygodnie! Ba! co się tyczy czterech tygo-

dni, bynajmniej się nie czuję w obowiązku dotrzymywać słowa! Trzeba się jej było przecie pozbyć....

Tymczasem (dobył z kieszeni zegarek) — nadchodzi godzina, o której Rzepski miał powrócić i wszystko już zastać skończonem... gdyby nie ona.... mnie na łóżku wyciągniętego, zastygłego i — *finita* historja....

Poruszył ramionami.

— Najgłupsze to, że byłem na duchu przygotowany, zrezygnowany, i nic by mnie to było nie kosztowało, a teraz na nowo potrzeba niby to żyć, aby powtóre odbyć ten sam proces nudny, bo to się inaczej skończyć nie może....

Uderzył nogą o podłogę.

— Trzeba było, żeby ją tu licho przyniosło — ciągnął dalej, i nie kogo innego, tylko ją, dla upokorzenia mnie — tę zarozumiałą piękność garderobową, która, jak powiada, marzyła — prześniła i modli się teraz!! Cha! cha!

Rozśmiał się ironicznie.

— Zestarzała mocno, a młodą będąc była bardzo ładną, tylko zawsze taką sztywną i zimną.. Ktoś tam jednak w tym śnie i marzeniu być musiał. Ba!

I pan Aureli od starej panny zaschłej wziąwszy porządną naukę moralną, na nowo musi rozpocząć życie....

— Farsa! słowo daję!

Obie ręce zatopił w kieszeniach.

— Rozpocząć życie — ale z czem?

Żabiec nie miał zwyczaju nigdy nosić ani sakiewki, ani pugilaresiku na pieniądze, kładł co miał grosiwa do kieszeni, złoto, miedź, papiery, i dobywał z takiem lekceważeniem, jakby miljonami władał — tym razem w jednej tylko z kieszonek coś zabrzęczało, a w drugiej zaszeleściało. Podszedłszy do świecy i przeliczywszy co mu pozostało, przekonał się, że miał około piętnastu rubli całego majątku... ale czem dla niego było — rubli piętnaście?

Z uśmiechem pogardliwym na stolik je rzucił.

Nawykły wykręcać się, wyklamywać, wyślizgać w najcięższych razach, Żabiec nie potrzebował długiego czasu aby, znaleźć coś na razie mogącego mu posłużyć. Oczekiwał na Rzepskiego — ale że on się opóźniał, wyszedł, pochylił się nad schodami i donośnym, niecierpliwym głosem stróża Łukasza wołać zaczął.

Nierychło, gdy huknął kilka razy, głos mu odpowiedział z dołu i powołany, w fartuchu brudnym, z nosem zatabaczonym, w załojonej czapeczce na łysej głowie, ukazał się z ciemności wyłaniając...

— Co jaśnie pan sobie życzy?

— Acan nie wiesz nic co się w domu dzieje! Na Boga!

— Albo co? co? — odparł Łukasz powoli czapeczkę ściągając i czując nadchodzącą burzę.

— Co! mnie tylko co okradziono! — krzyknął Żabiec.

— Jak? kiedy? Jezusie! Marjo!

Załamał ręce stróż.

— Mówię ci — tylko co? miałem potrzebę wyjść, niebawiłem i godziny, tym czasem w mieszkaniu wszystko zastałem pootwierane, poprzewracane i pieniądze zabrano...

Stróż drżał.

— Ale jakże to może być? ja się nie ruszałem krokiem...

— A nie widziałeś i niesłyszałeś co się działo... — wołał p. Aureli.

Łukasz stał i aż mu się ze strachu na płacz zbierało. Nagle poruszył się ku mieszkaniu, drzwi opatrywać, szukać znaków popełnionego gwałtu... ale tych nigdzie nie było...

— Toć zamek cały! — zawołał.

— Musieli go wytrychem otworzyć. drzwi znalazłem otwarte...

— Jezusie Nazareński — trzeba biedz na policję!!

Już się zawracał, gdy go Aureli za ramię pochwycił.

— Oszalałeś czy co? co to pomoże! — trzeba było lepiej pilnować — teraz wiatru w polu szukać daremnie. Co przepadło — to przepadło.

Pan Aureli zaczął się gniewać, łajać... a koniec końcem odprawił Łukasza. — Idź do kaduka!

Posłuszny, już się w pokorze miał oddalić stróż, gdy Rzepski, staruszek, gruby, niezgrabny, siny, z oczyma czarnemi, bystremi, zjawił się, niespokojnie pytając....

— Cóż się stało? co się stało! ach byle człowiek odszedł....

Krótko oznajmił mu Aureli:

— Okradziono mnie....

I stróżowi drzwi zamknąwszy przed nosem, sam z Rzepskim wsunął się do mieszkania, pokazując nieład w niem panujący.

Stary sługa wszedł z początku krokiem przyspieszonym wprost aż do sypialnego pokoju, oczyma rzucając na wszystkie strony — ale z milczenia jego i ust zaciśniętych wnosić było można, że jakoś tej kradzieży albo nie rozumiał, albo jej nie wierzył.

Mrucząc, począł układać co mu się pod rękę nawinęło, i kiedy niekiedy tylko z ukosa na pana spozierał, który nagle zamilkł....

— Pieniędzy dużo skradziono? — zapytał po długiem milczeniu.

— Albo ja tam wiem, zabrali co było — odparł Aureli. — Zrób mi herbaty, położę się....

Tak dzień ten się skończył długi i ciężki do przebycia... a Żabiec nie zasnął aż nad rankiem. Bądź co bądź nawet najlekkomyślniejszemu człowiekowi z tamtego świata powrócić nie jest łatwo. Przygotowanym był już zupełnie opuścić ten padoł

płaczu, gdy szyderska ręka losu zatrzymała go na nim.

Zabiec myślał teraz czyby w istocie nie było sposobu znaleść jakiegoś *modus vivendi*; ale myśli jego do poważniejszych rachub nie nawykłe, do zastanawiania się i rozbierania dłuższego jednego przedmiotu, plątały się bezskutecznie, wikłając coraz bardziej.

Gniewał się sam na siebie, szczególniej za to że musiał uznać wyrzuty, które mu panna Salomea uczyniła, po części usprawiedliwionemi, że słusznem czuł dane mu nazwisko starego dziecka. I gdybyż one wyszły z ust innych!! ale słyszeć je od tej dziewczyny z garderoby, którą lekceważył, która pogardziła niegdyś jego zalecankami, a teraz zestarzała, kwaśna, uboga, biedna, ale harda śmiała jeszcze dawać nauki — wskazywać drogi i wyśmiewać jego niedołężność, zmuszającą uciekać się do tchórzowskiego samobójstwa...

Gniewało go, gniewało okrutnie, nie że mu czyniono wyrzuty, ale że one wychodziły z ust istoty, którą on za coś pośledniego uważał... Upadł więc w istocie tak nisko, iż nawet ona miała prawo śmiać się z niego, a on śmiechu tego nie miał czem odeprzeć, oprócz bezsilnej złości.

Rad by był pokazał, że nie miała słuszności — ale, choćby się teraz zawrócił, zmienił postanowienie — wspomnienie dnia tego miało pozostać — i panna Salomea mogła być dumną z te-

go, iż pochwyciła go na uczynku, że ona ocaliła mu życie...

Ona!! to ironja losu, upokarzająca go — budziła w nim nietylko gniew, ale pragnienie dokazania jakiegoś cudu, któryby go we własnych oczach zrehabilitował.

Dręczył się myślami temi noc prawie całą... Kilka dni — rozpuściwszy wieść o kradzieży mógł sobie jakoś dać radę — ale — co dalej? co dalej? Z dnia na dzień żył już za długo — trzeba było uczynić krok jakiś stanowczy!

Znużony, twardym snem chorobliwym zasnął wreszcie nad ranem...

*
* *

Dla poznania bliższego nieszczęśliwego bohatera naszego opowiadania, musimy się cofnąć wstecz na kilkadziesiąt lat i dowiedzieć o jego pochodzeniu i przeszłości.

W ostatnich latach ośmnastego wieku, które tyle rodzin i majątków przyprawiły o ruinę w naszym kraju, a tyle nieznanych dawniej nazwisk i ludzi nagle postawiły na świeczniku i wyposażyły majętnościami olbrzymiemi, — na Podolu jakby z pod ziemi wyrosła nagle familja Czarnogrodzkich, która przyszła do posiadania ogromnych obszarów ziemi, w sposób niezbyt zrozumiały nabytych. Razem z temi bogactwy okazało się, że rodzina była stara, szlachecka, miała kolligacje i prawo liczenia się do uprzywilejowanych, choć

długo gdzieś w mroku trwała niewidoczna. Głową rodziny naówczas był starzec dumny, nieprzystępny, opryskliwy, chciwy i skąpy a pyszny, który synowi jedynakowi przelał po sobie i majętności i charakter.

Ożenienie z dziedziczką ubogą wielkiego imienia, na którą spadł później majątek znaczny, wprowadziło Czarnogrodzkich stanowczo w te koła, do których prawo sobie rościli. Rozległe bardzo dobra, nadzwyczaj zaniedbane, wymagały pilno uregulowania, pomiarów, odpowiedniego ich szacunkowi gospodarstwa. Dosyć późno ale gorliwie zajął się tem syn Czarnogrodzkiego.

Potrzeba było grunta rozdzielić, stworzyć folwarki — zużytkować ziemię, która w niedostatku rąk i starań długo leżała odłogiem, pastwiskami, choć obiecywała być — ziemią obiecaną.

Szukano naówczas zdolnego geometry, któryby wziął na siebie pomiar tych kilkudziesięciu tysięcy morgów, uregulowanie ich, zakreślenie planu urządzenia na przyszłość. Pan marszałek Czarnogrodzki, starając się o takiego geometrę, na koniec z trudnością sprowadził go sobie aż z Litwy, od Wilna.

Był nim p. Wawrzyniec Żabiec.

W chwili, gdy ów przybysz zjawił się w Czarnogrodzie (nowo tak przezwanej rezydencji świeżo urosłego magnata), marszałek był już ojcem syna, jedynaka, na którym spoczywały nadzieje przyszłości, i trzech słynących z piękności córek. Obie-

cujące się bogate wyposażenie panien, kazało się spodziewać zięciów, którzy stosunki rodziny znakomicie mogli podźwignąć.

Jak wszyscy ci, którzy świeżo urośli, Czarnogrodzcy dumą i poczuciem swej pańskości, przechodzili najstarsze i najnieprzystępniejsze rody. Pałac, park, — dom marszałkowski (gdyż jak ojciec tak syn tytuł ten nosili), słynęły z elegancji i piękności. Na to wszystko co w oczy biło co mogło podnosić w oczach ludzi, nie żałowano tutaj.

Przybyły geometra Żabiec znalazł tu rezydencję niemal książęcą, ale i dumę a szorstkość, o jakich nie miał wyobrażenia, ale nie był to człowiek, któryby sobie łatwo dał zaimponować.

Prawdopodobnie szlacheckiego pochodzenia, ale rodziców bardzo ubogich, pan Wawrzyniec sobie samemu był winien, iż wyszedł na człowieka. Nie był on bez zdolności, lecz tę przechodziła siła woli i energja, śmiałość, zarozumiałość i — nadzwyczaj uderzająca pięknością powierzchowność.

Mężczyzny tak jak Żabiec zbudowanego i z taką klasyczną twarzą, drugiego znaleźć było trudno. Zwracał na siebie oczy gdziekolwiek się pokazał, wiedział o tem, pielęgnował troskliwie tę piękność, chlubił się nią i do niej zastosowywał pojęcie o wartości własnej. Żabiec był przekonanym, iż go świetne losy minąć nie mogły.

Głowę miał dosyć otwartą, pojęcie łatwe — ale nie był to genjusz, choć w oczach własnych uchodził za niego; — stały mu za inne przymioty —

odwaga, wytrwałość, upór i rodzaj zuchwalstwa, z którem się śmiało rzucał na największe zadania i trudności.

Zawczasu już przybywając na Podole, wiózł z sobą plany przyszłości piękny Żabiec. Powiedział sobie, że tu powinien był zrobić fortunę, swietnie się ożenić, zdobyć przyszłość, i to, nie powolną pracą, ale wstępnym bojem.

Między innemi pana Wawrzyńca zaletami towarzyskiemi była i ta, że matkę mając Francuzkę, od dzieciństwa się z językiem tym oswoił, mówił nim doskonale i przejął wytworne maniery arystokracji, choć dotąd widywał ją tylko zdaleka...

Język francuski, jeżeli nie do dziś dnia, to do niedawnego czasu jeszcze, był u nas narzędziem, z pomocą którego czasem się cuda dokazywały. Dosyć było umieć go dobrze i mieć jaką taką polituręaby dopuszczonym być do kół najmniej przystępnych dla pospolitych śmiertelników.

Gdy się Żabiec po raz pierwszy miał honor, nadzwyczaj wyelegantowany zaprezentować głowie domu w jego kancelarji — wcale o tem nie myślano, aby kiedy pana geometrę miano przypuścić do salonu.

Mowy nawet o tem być nie mogło, ale Wawrzyniec umiał się postawić, zaimponować i tak znaleść, że nie dalej jak w dni kilka, on jeden z oficjalistów miał honor zapraszanym być na herbatę i objady.

Dosyć mu było krok tylko postawić tutaj, aby się stać niezbędnym. Nie był on uniżonym pochlebcą bynajmniej, ale umiał tak zręcznie łechtać miłość własną, że dumę rozbrajał nawet.

Marszałek, wdowiec, wychowywał naówczas dorastające córki pod dozorem niemłodej już kuzynki, wdowy i guwernantki Francuzki. Dwie te panie pierwsze zachwycone zjawiającym się geometrą, ogłosiły go młodzieńcem cudownym. Zwolna opanował umysły pań, przez nie wcisnął się do marszałka i zyskał prawo obywatelstwa w salonie.

Przyjęty tu, w sąsiedztwie i domach mniej arystokratycznych, był na stopie równości i stał się ich wyrocznią.

Na to wszystko stosunkowo nawet nie wiele czasu było potrzeba...

Najstarsza z córek pana marszałka, liczyła naówczas lat siedmnaście, choć urzędownie tylko piętnaście jej przyznawano. Znakomitej piękności, rozpieszczona niegdyś przez matkę, potem przez ojca. wychowywała się pod wpływem idei, jakie naówczas panowały, sentymentalizmu niezdrowego, pojęć o potędze serca, miłości, o nieprzepartej sile namiętności — wiodących do rozmarzenia.

Kuzynka kierująca wychowaniem, Francuzka guwernantka, hołdowały jeszcze tym pozostałościom ośmnastego wieku; panna Wanda wychowała się w tej atmosferze oranżeryjnej, spragniona miłości i dramatów jej życia, bo one stanowiły dla niej główny cel niewieścich przeznaczeń.

Ukazanie się pięknego Żabca — który zalotnym był i usiłował się podobać wszystkim, a o niczem nie wątpił — było iskrą, która pierwsza serce panny Wandy rozpłomieniła....

. Geometra zaledwie doszedłszy to i domyśliwszy się, że coś zawiązać się może dla przyszłości wielce obiecującego — zręcznie i z przebiegłością niesłychaną począł potajemny romans z dorastającą panienką.

Zuchwalstwa tego mógł się tem śmielej dopuścić, że nikt w świecie domyślać się go, wpaść na myśl podobną, posądzić nie byłby potrafił — o nie. Panny przeznaczał ojciec odpowiednio do posagów, jakie wnieść miały, najznakomitszym rodzinom kraju, a że Wanda była cudnie piękną, nadzieje ojca tem wyżej sięgały.

Tymczasem biedny oficjalista, nie wątpiący o niczem, pannę tak umiał rozmarzyć, rozkochać, tak ją ubóstwiał umiejętnie, tak sobie pozyskał całą, że w półtora roku, gdy nikt w domu ani by był śmiał przypuścić coś podobnego — pan Wawrzyniec wykradł marszałkównę.

Młody wikarjusz w bliskiej parafji odważył się parę połączyć.

Opisać, co się naówczas działo w Czarnogrodzie, gdy straszliwa wiadomość, w liście do ojca pozostawionym, doszła do osłupiałego starca — nie potrafi żadne pióro... Musiano natychmiast sprowadzić lekarza, marszałek rażony był apopleksją. Prędka pomoc życie mu uratowała, ale przywró-

cony do niego, był niewzruszonym. Wyrzekł się córki zupełnie. Jedynym warunkiem przebaczenia było, ażeby natychmiast męża porzuciła... a małżeństwo zostało unieważnione, ale piękna Wanda w tem poświęceniu się dla męża znajdowała największą rozkosz. Ono ją czyniło heroiną.

Państwo młodzi osiedli tymczasowo w Winnicy, a Żabiec tak był pewien iż w końcu ojciec będzie musiał im przebaczyć, iż odpowiednio do nadziei przyszłości — dom urządził.

Obywatelstwo było podzielone. Jedna część jego z pogardą patrzyła na Żabca i znać go nie chciała, druga okazywała najwyższe uwielbienie dla romansowej pary.

Wkrótce na życie zapożyczać się było potrzeba... Rozpoczęte na stopę bardzo wielką, musiało zwolna schodzić do ubóstwa i niedostatku. Marszałek pozostał niewzruszonym, tak, że przybywającej go przebłagać córki przyjąć, widzieć, mówić z nią nie chciał. Żadne pośrednictwa nic nie pomogły.

Urodzenie wnuka, choroba matki znękanej, nie zdołały zmiękczyć obrażonego, dotkniętego najboleśniej ojca. Widział w tem nie stratę jednego dziecięcia, ale skompromitowaną przyszłość, splamione imię rodziny...

Nie mogąc dochodzącej do pełnoletności pani Żabcowej odmówić schedy, przypadającej na nią z posagu matki, wypłacił ją przymuszony, zapowiadając i poprzysięgając, że gdyby z głodu marli, szeląga więcej nie dostaną od niego.

Żabiec się śmiał w początku z tych odgróżek i jeszcze był tak nieopatrznym, że odebranych stu tysięcy złotych nie zachowując na przyszłość, rozporządził niemi jakby urągając się ojcu.

Pożycie jego z żoną po pierwszym roku, rozczarowało nieszczęśliwą ofiarę. Żabiec się stał dla niej opryskliwym, nielitościwym, nieznośnym. — Biedna istota w dziecku tylko znajdująca pociechę, męczyła się życiem, wypłakiwała oczy, nareszcie zmarła z wycieńczenia, a raczej z doznanego zawodu.

Żabiec nie wiele uczuł straciwszy ją, pozostawał mu syn, którego zaczął wychowywać po swojemu, nie tracąc nadziei, że on kiedyś, pomimo wydziedziczenia, odzyska co na niego powinno było przypaść po matce.

Syn ten podobny do rodzica, mający jego temperament, krew, charakter — wychowany pod wpływem ojca — był odbiciem jego, powtórzeniem, kopją nieco udoskonaloną.

Nadzieje na Czarnogrodzkich oparte, najzupełniej zawiodły, ojciec przed zgonem tak rozporządził majątkiem, iż w żaden sposób nic się z niego Żabcom dostać nie mogło.

Stary zagryzł się, choć do ostatka nie stracił przekonania, że prędzej później muszą dać co Wandzie należało... Rozpoczęty proces przegrywany we wszystkich instancjach, został w zawieszeniu...

W takiej atmosferze wychowywał się, dorósł i dożył do tego dnia zwątpienia p. Aureli.

Dwie siostry jego matki, które go znać nie chciały, obie wyszły za mąż za wysoko położonych i bardzo bogatych ludzi. Syn, miljonowej fortuny pan, ożeniony z księżniczką, o siostrze odrzuconej przez ojca, o jej potomku mówić z sobą nie dozwalał. Listy pisywane do niego uparcie, powracały nie rozpieczętowywane. Wszelkie próby, nawet groźby uczynienia sprawy głośną w dziennikach, nie potrafiły skłonić wuja, aby w jakikolwiek wszedł stosunek z siostrzeńcem.

Dalecy tylko krewni Czarnogrodzkich, którzy od początku Wandy stronę litościwie trzymali, przychodzili czasem w pomoc staremu, a po jego śmierci p. Aurelemu Żabcowi.

On także długo podzielał to przekonanie ojca, że opór rodziny złamany być musi, albo że prawnie da się coś wyzyskać. W końcu trudno się było wyrzec tej mrzonki. Wszystkie środki były wyczerpane.

Rodzina Czarnogrodzkich składała się teraz z głowy, którą był po śmierci ojca marszałka trzeci z rzędu marszałek tego nazwiska, brat nieboszczki pani Żabcowej, żonaty z księżniczką S.... i mający dorosłego syna, który tak dobrze jak ojciec kuzyna Aurelego znać nie chciał i do niego się nie przyznawał. Będąc wszędzie przyjmowanym i mile widzianym, p. Aureli starał się o to, ażeby w salonach spotykać się z tak zwanym hrabią Ewarystem, ale ten go z góry traktując odprawiał

w sposób tak znaczący, że niepodobna było bez zrobienia awantury posunąć się dalej.

Dwie ciotki swe także Żabiec widywał zdaleka, próbował w nich obudzić sympatję, ale panie te przypisywały matce jego śmierć ojca, zgryzoty, niewdzięczność i siostrzeńca się również zapierały.

Jedynym z rodziny, który ojcu i synowi Żabcom pomagał i starał się coś wyrobić u familij, był stary przyrodni brat Czarnogrodzkiego marszałka — człowiek niezbyt majętny, ale dobrego serca i wcale na arystokratę nie chorujący. Nie wiele jednak mógł uczynić, bo, choć Czarnogrodzcy jego się wypierać nie mogli, traktowali go lekko, zwali dalekim powinowatym, i żadnego u nich nie miał wpływu.

Z tego prostodusznego staruszka tyle już Żabcowie wyciągnęli pieniędzy, tak wiele mu byli winni, że do niego się zwrócić już nie można było. Pozostawała właściwie jedna droga, tylko zaniedbana dla tego że się nie spodziewano nią dojść już do niczego. Stary ojciec Żabiec, rozpoczął był proces o nieformalność jakąś w wydziedziczeniu — koszta jego ustraszyły go potem i porzucić musiał, ale pozostał w zawieszeniu i prawnicy utrzymywali, że można go było odnowić.

Wygrać było z pewnością trudno, pozostawała jedna nadzieja, że lękając się rozgłosu, unikając skandalu, Czarnogrodzcy wykupić się od niego zechcą.

Panu Aurelemu proces był rzeczą wstrętliwą, a nigdy nie miał tyle grosza, ażeby na niego mógł łożyć, nie ograniczając się w innych wydatkach. Papiery tyczące się sprawy leżały opieczętowane.

Nazajutrz po pamiętnym dniu spotkania się z panną Salomeą, ku której powziął Żabiec rodzaj nienawiści i nie mógł jej przebaczyć doznanego upokorzenia — naprzód musiał rozgłosić. że go okradziono, co miało posłużyć na wytłumaczenie chwilowego zakłopotania; potem trzeba było coś przedsięwziąć... proces odnowić, zagrozić nim — albo szukać sobie zajęcia i wynieść się z Warszawy, albo kupić znowu strychninę i rewolwer.

Wstał z łóżka p. Aureli zmęczony, zły, nieprzystępny, tak, że z Rzepskim nawet słowa nie mówił, ubrał się dosyć starannie i wyruszył na miasto.

Celu w tej wycieczce nie miał — wybrał się trochę na oślep — od wczorajszego dnia jeszcze bardziej czując się fatalistą... Los, który mu wczoraj niepoczciwiec szydersko zesłał tę starą pannę z nauką moralną. powinien był dalej czuwać nad nim i dokonać dzieła.

Zwykle z Mokotowskiej ulicy pieszo nie chodził do miasta, miał nawet dorożkarza swojego który go nawykł był wozić i zgadywał z pory dnia dokąd potrzebował jechać Żabiec. Tym razem jednak p. Aureli musiał się oszczędzać i odmówił jazdy, utrzymując, że się przejść chce dla ruchu.

Pieszo idąc prędzej go spotkać było można — i na coś natrafić...

Wlókł się nadzwyczaj powoli oglądając na wszystkie strony... Pomiędzy prawnikami miał bardzo wielu znajomych, lecz choć sam mało rozumiał interesu, czuł to, że jego procesu podjąć się mógł tylko człowiek nie wiele mający do stracenia. Żaden poważniejszy mecenas nie byłby wziął sprawy przedawnionej, dwuznacznej, zaniedbanej i jawnie na wyzyskanie obrachowanej.

Żabca tłumaczyło jego położenie... prawnik musiał się rozmyśleć dobrze, nim by w to ręce umoczył. Trzeba się było narazić teraz wielu rodzinom spokrewnionym z Czarnogrodzkimi, a stojącemi w społeczeństwie wysoko i wpływowo.

W świecie tym prawniczym, jak w każdym innym, rozmaitość ludzi była wielka. Znajdowali się między nimi począwszy od literatów i muzyków, od zapalonych tancerzy, od dyletantów artystów, od poetów, aż do sportsmenów i myśliwych... najrozliczniejsze indywidualności.

Z wielu nimi schodził się p. Aureli u zielonych stolików przy kartach, z innymi na wesołych wieczorkach męzkich — w których pomimo ich nazwania — płeć niewieścia też uczestniczyła. Na przyjaciołach mu tu nie zbywało; chodziło o wybór człowieka, któremuby się mógł zwierzyć.

Mówiliśmy już, że Żabiec miał istotny talent czarowania ludzi.

Był prawie pewien, że sobie potrafi pozyskać obrońcę, ale należało wybrać takiego, któryby wszelkie posiadał warunki, chciał, mógł i miał o czem dopomódz p. Aurelemu, a godzien był zaufania, bo mu się zwierzyć musiał całkowicie. Odkryć ubóstwo jest rzeczą najniebezpieczniejszą w świecie. Na sto wypadków w takim razie, parę ledwie może — nie odstręczą i nie rozbratają. Nie ucieka się tak nawet od zapowietrzonych.

Idąc więc, w myśli przebiegał cały szereg znajomych bliżej prawników i w każdym z nich znajdując coś, co go użyć nie dozwalało. Potrzebował młodego, nie wiele mającego zajęcia, a energję wielką — chciwego rozgłosu i nie dającego się opinją ustraszyć... Właśnie takiego znaleźć nie mógł. Ciągle mu na myśl powracało wczorajsze wystąpienie panny Salomei, na którego wspomnienie zgrzytał zębami i wołał:

— No... dokonajże dzieła losie coś mi pomięszał szyki...

Wlokąc się powoli był już około placu Teatralnego i w sąsiedztwie niedalekiem Stępkowskiego, którego chciał pominąć, gdy posłyszał za sobą wołania.

Cały jeszcze przejęty myślą fatalizmu, przeznaczenia... jakiegoś wpływu tajemniczego — odwrócił się żywo. Za nim podążało trzech młodych ludzi, niecierpliwie dających znaki. Dwóch z nich było mu dobrze znanych wesołych towarzyszów, z których jeden zajmował dosyć wysokie stanowi-

sko jako urzędnik, referendarz, co mu nie przeszkadzało znaczniejszą część dnia poświęcać przyjaciołom. Był to sławny gastronom... W dobrym humorze, za stolikiem miał wiele dowcipu, w powszedniem życiu i w domu uchodził za nieznośnego brutala... Dlaczego w bardzo poufałem towarzystwie przezwano go Salcesonem, — tradycja zaginęła, ale przydomek się utrzymał.

Drugi, obywatel majętny z okolic Warszawy, który więcej przemieszkiwał w mieście niż gospodarował w domu, należał do tych cudotworców, którzy obciążeni długami, nigdy nieopłacając regularnie rat Towarzystwa — dają bale, grają grubo w karty i mają nawet kredyt u lichwiarzy. Gadatliwy, krzykacz, nie smakosz ale obżartuch, pan Odrobiński — na warszawskim bruku był figurą powszechnie znaną, którą się na różny sposób posługiwano, najczęściej tak, że on sam o tem nie wiedział.

Trzeci, młody, przystojny mężczyzna, w którego stroju i całej postaci coś zdradzało przybysza, nie Warszawiaka — szedł z nimi zdając się bardzo rad, że się tu znajdował...

Referendarz pochwycił idącego powoli i smutnie Żabca i krzyknął śmiejąc się — aresztuję! Fetujemy powracającego do nas doktora praw obojga, panna Marcelego Korjatowskiego... idziesz z nami do Stępkowskiego. Jest to przyszła gwiazda naszej palestry, zobaczysz, wszyscy nasi prawnicy w kąt pójdą; nauka, wymowa, energja i — co ni-

gdy nie szkodzi, kieszeń nie próżna, więc swobodnie może czekać aż się na nim ludzie poznają.

Żabiec drgnął — i wielkiemi oczami go zmierzył — serce mu uderzyło. Widoczna, iż los go brał w opiekę... Niedowiarek, sceptyk na ten raz miał najmocniejsze przekonanie, że pan doktor Marceli Korjatowski jest przeznaczonym do wyratowania go z tej złej toni.

Nie zastanawiając się nawet, odparł rękę podawszy przyszłej gwieździe.

— Doskonale! jeżeli pan na początek chcesz zdesperowanej sprawy, ja mu mogę ofiarować taką, która pod względem zdesperowania nic do życzenia nie zostawuje.

Pan Marceli śmiejąc się odparł.

— W to mi pan graj! Czemuż nie! Byle obiecywała być rozgłośną...

Żabiec zrozumiał, iż należało po tej wzmiance zwrócić na inny przedmiot rozmowę — i z bardzo wesołą werwą począł opowiadać, jak go okradziono wczoraj i okazując że niewielką do tej straty przywiązywał wagę.

Pomimo, iż w duszy był zrozpaczony, gniewny, zły, tak umiał swobodnego i wesołego rolę odegrać, iż nikt się pewno nie domyślał, w jakiem położeniu zostawał.

Wszyscy razem, Referendarz Salceson, Odrobiński, Korjatowski i zaproszony Żabiec, weszli do Stępkowskiego, u którego pierwszy z nich miał wielkie zachowanie, natychmiast więc gabinet się

znalazł. Przyjmującym był Odrobiński, który miał jakieś tajemnicze pobudki fetowania powracającego z tytułem doktora i mającego się tu osiedlić przyszłego mecenasa Korjatowskiego. Żabiec z pobieżnego rzutu oka wiedział, iż miał do czynienia z człowiekiem inteligentnym, — rysy twarzy świadczyły o tem, szło o rozpoznanie charakteru i temperamentu. Pan Aureli miał właściwe sobie pewne sposoby do szybkiego robienia djagnozy. Potrzebnem mu była ta sztuka jako grywającemu w karty, gdzie należy zawsze wiedzieć, z jakich usposobień człowiekiem ma się do czynienia, a czasu ma się do rozpoznawania mało.

Kilka pytań, rzuconych od niechcenia, zdawały się zwiastować w młodym mecenasie ambicję wielką i chęć utorowania sobie drogi bądź cobądź... To właśnie było mu na rękę. Referendarz, który od lat wielu widując bardzo często Żabca, nigdy nie słyszał o tem, ażeby mógł mieć proces jaki, po chwili, jakby naumyślnie, zagadnął go:

— Żartowałeś czy co? jakiż ty masz proces?

— Ba! ba! familijny!

— Gruby interes?

— Gdyby w istocie dało się odzyskać to, o co idzie, z procentami... ho! ho! miljon złotych, mało powiedzieć...

— A dla czegoż spisz z tem! — pytał Referendarz.

— Bo to rzecz zdesperowana — rzekł zimno

Żabiec — nie dla tego, ażeby złą była sprawa, ale zaniedbana i z ludźmi wpływowymi.

I — odwrócił zaraz od tego przedmiotu, jakby go niechętnie dotykał. Przyszły mecenas słuchał z uwagą.

Śniadanie złożone z najwykwintniejszych nowalii jesiennych, zadysponowane z gastronomiczną umiejętnością następstwa potraw i napojów, ze stopniowaniem kunsztownem — najwykwintniejszym wymaganiom mogło odpowiedzieć, a że doktor praw obojga powracał z Petersburga, Referendarz ciągle go interpelował, czy nawet w wielkiej stolicy lepiej, smaczniej i wytworniej jeść można... Korjatowski odpowiadał dwuznacznie. Wina ciepłe i zimne, kawa, potem likwory, zakończyły śniadanie, po którem chyba w nocy objad jeść było można.

Żabiec zmagał się na to, aby sobą oczarować nowo przybyłego i dać mu o sobie jak najlepsze wyobrażenie, co mu się zupełnie powiodło.

Ponieważ nieochybnie po rozejściu się miał Korjatowski dopytywać o znajomość nową, p. Aureli, starał się o to, ażeby nie stanąć w świetle fałszywem, nie popisywał się z niczem, nie dawał o sobie innego wyobrażenia nad te, jakie ogół mógł mieć o nim w istocie...

Ponieważ matka pana Korjatowskiego mieszkała w Warszawie, a syn miał z nią razem tu pozostać — zaprosił Odrobińskiego, Referendarza i Żabca na obiad do siebie.

Wszystko się składało bardzo szczęśliwie, potrzeba było tylko po bliższem poznaniu się manewrować tak, aby o ów proces sam mecenas zapytał...

Ze śniadania wychodząc, utwierdził się w tem przekonaniu Żabiec, że w istocie „ten szelma los“ zaczynał się nim opiekować.

Tego mu tylko darować nie mógł, że począł od przysłania panny Salomei.

Rozgłoszenie o kradzieży pomogło p. Aurelemu do pożyczenia stu rubli u jednego z tych, z którymi grywał często, a dla którego sumka ta nic nie stanowiła; ale miało tę niedogodność, że gdy się Łukasz wygadał, wdała się w to policja i Żabiec musiał z gniewem pozbyć się natrętnego urzędnika tem, że nie skarży się, nie chce wiedzieć o niczem itp.

Rzepski milczący był przekonany o tem, iż złodzieja na górze nie było, ale panu to być musiało potrzebnem, potakiwał więc, pomrukiwał i z uwielbieniem patrzał na swojego panicza, którego rozum i zręczność podziwiał.

— Już to głowa! — mówił w duchu — gdyby tak statek! ale się to piwo nigdy nie wyburzy, a daj Bóg, aby nie skwaśniało.

Tydzień już upłynął od pamiętnego dnia owego, gdy wieczorem (Żabca w domu nie było) przyszła do Rzepskiego zadzwonić panna Salomea.

Widywał ją stary na mieście, ale domyślając się że pan jej nie lubił, nigdy o niej nie wspo-

minał p. Aurelemu. On sam, choć mu ta pozostałość jako pamiątka po niej była miła, bo z nią jedną mógł mówić o nieboszczyku, o nieboszczce, o lepszych czasach itp. — do panny Salomei wielkiego nabożeństwa nie miał. Wydawała mu się dumną, zarozumiałą i nie dosyć uprzejmą. Obchodziła się w istocie z Rzepskim jakby z niższym od siebie, gdy on miał siebie za takiego jak ona...

Inne też może dawne wspomnienia zrażały ją do niego.

Nigdy dotąd panna Salomea nie ukazywała się na Mokotowskiej ulicy, choć wiedziała o Żabcu, zjawienie się jej tutaj zdziwiło starego trochę... — ale znudzony samotnością rad był i temu gościowi.

— Chciałam też raz — odezwała się wchodząc panna Salomea — zobaczyć co się tu u was dzieje? Jest pan Aureli...

— Nie ma go! On nigdy w domu nie siedzi. Gdyby był, to byś go już panna na dole słyszała... Naówczas pełno gości — i rumor aż strach... Gdy u niego ludzi nie ma, on musi szukać ludzi... sam nie wyżyłby...

— A zdrowie, a humor? — spytała wpatrując się w Rzepskiego panna, która nie proszona usiadła. Stary poruszył ramionami.

— Panna go tak znasz jak i ja — rzekł.— Mądry będzie kto odgadnie kiedy on zdrów, chory, w złym lub dobrym humorze. On z siebie robi co chce...

Rzepski jak zwykle, mówił bardzo powoli i przychodziło mu to z ciężkością, ale panna Salomea była jego dawną znajomością — od dziecka— i miał dla niej słabość, jak dla panicza. Przypominała mu lepsze czasy... Usiadłszy, oparła się na stole przybyła i nie zważając na to, że stary Rzepski mrucząc coś porządkował, (miał bowiem zwyczaj, choćby niepotrzebnie coś robić, poruszać się, gdyż siadłszy zasypiał zaraz...) ciągnęła powoli rozmowę, nie pewna jeszcze, czy ma bytność swą pierwszą opowiedzieć mu, czy zamilczeć o niej.

— A — panna Salomea, co tu robi? — odezwał się Rzepski.

— Ja, mam kondycję — odparła obojętnie.— Nic osobliwego, przy dzieciach — no, ale głodem nie mrę i jeszcze mi czas zostaje, aby się pomodlić.

Zamilkła trochę i dodała.

— A panu Aurelemu? powodzi się? cóż on?

Rzepski ramionami poruszył.

— Jego nikt nie zrozumie — odparł cicho... Czasem zdaje się, że ot, ot już przepadniemy z kretesem... a nazajutrz fyrta znowu na nogach i dalej to co bywało...

— Mnie się zdaje — mój stary, wtrąciła panna Salomea—że bodajby się rychło dzbanowiuc ho nie urwało... Ja coś wiem...

Rzepski spojrzał ale obojętnie — zaczął pył ścierać, gdzie go nie było.

— Zkądże panna Salomea może co wiedzieć!

— zapytał z półuśmiechem. Ja koło niego chodzę, a nie wiem nic...

Poruszyła się żywiej stara panna.

— Gdyby mnie tu wczoraj nie było — odezwała się — dziś by może inaczej wyglądało.

Rzepski popatrzył zdziwiony i ścierać przestał.

— Kiedyż panna była wczoraj? — zapytał.

— Przed samym wieczorem...

Stary głową pokiwał.

— I cóż? — okradli nas... — rzekł z szyderskim wyrazem.

— Kto? co? — zapytała panna.

— Nie wiem, bo mnie nie było — obojętnie rzekł stary. — Kto jego zrozumie...

— Ależ ty ślepy, stary — żywo poczęła kobieta, pochylając się ku niemu. On wczoraj rewolwer miał nagotowany i gorzej jeszcze... gdybym ja nie nadeszła... byłby...

Rzepski zdumiał się, ale miał wyraz twarzy niedowierzający.

— Plątanina jakaś — dodał zimno — znowu ścierać zaczynając.— Niech bo panna Salomea mówi jasno, ja do zagadek nie sprawny jestem.

— Prosta bardzo rzecz — odezwała się Salomea.— Zaszłam tu, sama nie wiedząc czemu, chcąc się dowiedzieć... Dzwonię raz, dwa, trzy razy — za trzecim wyszedł zmieszany... ale mnie wpuścił. Wszystko było poprzewracane, a w sypialnym pokoju przy łóżku... flaszeczka i rewolwer...

— A! a! flaszeczka! przerwał Rzepski. to pewnie ta, co ją zawsze w kamizelce nosi. — Lekarstwo!

Salomea ramionami poruszyła niecierpliwie...

— Gdzie zaś — trucizna! — odparła.

Rzepski się zmarszczył — nie odpowiedział nic. Czoło mu się pofałdowało...

— Co on sobie myśli? — dodała nie odbierając odpowiedzi.

Wtem Rzepski rzucił miotełkę na komodę i siadł podpierając się na ręku...

— Ja pannie mówiłem — rzekł. Tyle lat z nim jestem, zrozumieć tego człowieka nie mogę. Dziś zdaje się już desperat ostatni, a nazajutrz śpiewa wesoły, drwi, drugich do zabawy zachęca... jakby był najszczęśliwszy.

— Ależ to tak zawsze nie może być — przerwała stara panna — to się musi źle skończyć. Nie myśli nic, nie robi nic... w końcu się przebierze konceptów, i...

— Ja zawczasu to wiem, że gdzieś pod kościołem przyjdzie siąść — odparł Rzepski — ale kiedy na to rady nie ma? Jużci, że go rozumu uczyć nie mogę.

— Dla czego? — podchwyciła panna.

— Bo on go ma więcej niż ja — ale użyć nie chce. Taki człowiek — począł Rzepski.

Panna Salomea westchnęła...

— Taki człowiek — odezwała się, mógłby z.

niego i guwerner być i rządca majątku i — czemby chciał to by potrafił... ale...

— Ale taki jak ojciec — rychtyk — odparł Rzepski — nieboszczyk też wystroić się, upomadować, do salonu, do gości na gawędę, do kieliszka...

Popatrzyli na siebie.

— Ja pannie więcej powiem — dodał stary. Gdyby mu nawet pieniędzy dać, majątek... gdyby miał za co ręce zaczepić, z niego już nic nie będzie... Przehula, przeje i rozśmieje się gdy w kieszeni pustki zobaczy.

— Na niego—odezwała się — jeden był środek. Gdyby się w kobiecie zakochał, a ta go wzięła pod swe panowanie.

Rzepskiemu brwi się do góry podniosły.

— On by się miał zakochać !—odparł...—Co bo panna mówi... Zadurzyć się — może, ale przywiązać...

Ręką dokończył... panna Salomea zadumała się.

— Żal mi go — rzekła..

— A mnie ? panna myśli, że nie ?—rzekł wzdychając stary, ale żeby człowiek życie chciał dać nie zrobi nic.

Nastąpiło długie milczenie ; Salomea dumała. Rzepski siedział z głową spuszczoną i machinalnie otrzepywał sobie kolana...

— Słyszałeś — odezwała się wyczekawszy długo — że Winnicka się przeniosła do Warszawy i tu mieszka ! !

— A nam co po Winnickiej! — rzekł Rzepski. — Mało razy dziesięć do niej się zgłaszał i ojciec i on, a znać ich nie chce.

— Nie chciała — wtrąciła Salomea, — a dziś, kto wie coby było... Winnicka dzieci potraciła, sama jak palec.

Rzepski podniósł głowę.

— Ma dzieci siostry — rzekł — ma brata... a nas jak nie znała tak i nie będzie chciała znać.

— A czemuby nie miał popróbować — szepnęła Salomea. — On obcych sobie umie ujmować gdy zechce, a nie potrafiłby jej ??

— Z obcemi co innego — odparł Rzepski. — Ci nie są uprzedzeni, a Winnicka i ojca i syna zna, może by mu się i zbliżyć do siebie nie dała...

Milczeli znowu, wstała z krzesła panna Salomea.

— Co to szkodzi, tylko mu poddaj tę myśl, i powiedz, że ja z tém przychodziłam. Winnicka mieszka na Krakowskiem, numer dwudziesty szósty... Niech pójdzie... Nuż przyjmie!

Rzepski głową kręcił.

— Powiedzieć, powiem — wybąknął — ale z nim...

Nie dokończył.

— Choćby jak trudno było, trzeba zawsze próbować coś zrobić — dodała stara panna...

Obejrzała się do koła po izdebce, westchnęła, Rzepski wstał i pochwycił miotełkę.

— Ja tu się dowiem jutro, pojutrze — rze-

kła głowę skłaniając — powiedz mu o Winnickiej odemnie.

— Czemu nie mam powiedzieć! — mruknął odprowadzając ją do wschodów Rzepski i wolnym krokiem do izdebki swej powrócił.

Siedział tu, to drzemiąc, to zrywając się do niepotrzebnej roboty, aby nie zasnąć i oczekując na pana. Dobył kawałek suchego chleba z szafy, posypał go solą, napił się wody stary, otarł usta i westchnął.

Głód mu widać dokuczał, bo zwrócił się powtórnie do szafki, w której nic nie znalazłszy oprócz kromki chleba za twardej na jego stare zęby, obejrzał ją i złożył napowrót z poszanowaniem, jakie ubodzy mają dla najsuchszych okruchów.

Ciemno się już robić zaczynało, gdy powrócił pan Aureli i zawołał na Rzepskiego głosem donośnym. Stary pospieszył.

— Tyś pewnie głodny — rzekł — a ja ci zapomniałem dać pieniędzy...

Dobył z kieszeni rubla... zapatrzył się na niego i wcisnął w rękę Rzepskiemu.

— A — pan jadł? — nieśmiało wybąknął staruszek.

Żabiec uderzył go po ramieniu i nic nie odpowiadając odszedł.

— Była panna Salusia — odezwał się Rzepski — ciągnąc za nim.

— A!! no, i cóż?

— Kazała powiedzieć, że pani Winnicka na Krakowskiem mieszka numer dwudziesty szósty.

— A mnie co po ciotce Winnickiej? — rozśmiał się Żabiec.

— Salusia powiada, że potraciła dzieci, że nikogo nie ma... — dodał Rzepski — i że trzeba, aby pan o tem wiedział...

Pan Aureli wysłuchał i odszedł bez odpowiedzi. W tym stanie ducha w jaki go wprawiło zjawienie się pierwsze panny Salomei, wszystko teraz dla niego wydawało się jakiemś przeznaczeniem, skazówką...

Pomyślał więc, że ciotka Winnicka zjawiała się może w porę i że należało — spróbować. Składało się to dobrze nawet — bo mógł uprzedzając proces zrobić krok ten, oznajmując jej, że do ostateczności przywiedziony, zmuszony będzie go rozpocząć. Ciotki Winnickiej, jak reszty familij, dla Żabca niedostępnej, nie znał wcale. Słyszał tylko o niej, jako o kobiecie którą szanowano, przyznając jej większe zdolności niż innym członkom rodziny. Słynęła z rozumu, ale razem z obejścia się z ludźmi szorstkiego.

Po tylu nadaremnych próbach zbliżenia się, czyby go przyjąć chciała, było wielce wątpliwem. Myślał jak postąpić należało — ale gotów był nawet się narażając na odprawę niemiłą, jeszcze krok jakiś uczynić.

Wahał się z tem jeszcze, gdy zwolna przy-

gotowywana narada z Korjatowskim, dała się doprowadzić do skutku w ten sposób, że Żabiec mu się nie narzucił, ale uległ naleganiu jego i zaniósł mu papiery do przejrzenia. Główne zarysy z opowiadania były znane prawnikowi, i żadnej sprawy ani sądu nie wywołały. Tydzień czasu upłynął, a Korjatowski nie dowiadywał się wcale do p. Aurelego, który natrętnym być nie chciał.

Spotkali się wreszcie raz wychodząc z teatru.

— *A propos* — rzekł biorąc go za rękę prawnik — muszę panu coś powiedzieć o interesie, w którym żądałeś mojej rady.

— Chodźmy na wieczerzę — pospieszył Żabiec — uczyń mi pan tę łaskę i przyjm zaproszenie moje.

Milcząco skłonił się Korjatowski, a p. Aureli do najlepszej i najbliższej restauracji go wprowadził.

— Papiery przejrzałem pilno — rzekł prawnik ruszając ramionami. — Nie ma na świecie sprawy którejby poruszyć nie można, i nią siebie i drugich męczyć... ale są niemożliwe, takie których wygrać nie ma podobieństwa. Do tych należy pańska... Procesować możemy, zyskać co na tem prócz satysfakcji dokuczenia? — nie widzę sposobu... Szkoda czasu i atłasu.

— A zatem — westchnął Żabiec.

— Nie radzę — rzekł Korjatowski. — Rzecz przedawniona, popsuta, a na ostatek prawnie tak

obwarowali się Czarnogrodzcy, że im nic zrobić nie można.

Westchnął Żabiec.

— Gdyby na punkcie sławy swej rodziny byli bardzo drażliwi — dodał Korjatowski — mogliby się nastraszywszy rozgłosu, wykupić. To jedyny cel, którego dopiąć można. Bardzo mi przykro — dodał adwokat — iż muszę tak rozczarować pana i odjąć mu nadzieję, ale nie lepiejże się nie łudzić, niż roić i być zawiedzionym.

Żabiec oświadczył, że był tego samego zdania i podziękował. Przygotowanym zresztą był do takiego końca. Zwierzył się tylko Korjatowskiemu z pobytu ciotki w Warszawie i powiedział mu, że chce spróbować udać się do niej. Mecenas wielce to pochwalił...

Wieczerza upłynęła na różnych pogadankach o plotkach miejskich, o ludziach. Korjatowski wynurzał się ze swemi projektami i planami przyszłości... Było blizko północy gdy się rozeszli, a Żabiec dorożkę wziąwszy pojechał na Mokotowską ulicę.

Nie pozostawało mu już nic więcej tylko... dobijać się do ciotki Winnickiej, ale siostrzeniec tak ją znał mało, tak słabe miał pojęcie o jej charakterze, iż koniecznie potrzebował zasięgnąć wiadomości wprzódy nim się miał ważyć na krok, od którego tak wiele zależało.

Teraz dopiero mogła się cała zręczność jego i umiejętność życia pokazać i wyjść na jaw.

Musiał znaleźć drogi, wyszukać ludzi, a nie dać poznać po sobie dla czego to czynił i co miał na celu, bo o jego pokrewieństwie ze starą Winnicką nikt nie wiedział.

Do takich informacyj służył mu dom pani jenerałowej Dermaszowej...

Dla czego i po jakim jenerale zwała się tym tytułem dama już nie młoda, wysznurowana, pięknego wzrostu, poważna a w świecie tak liczne mająca stosunki, że nie było domu do któregoby sama lub przez kogoś nie miała przystępu — nikt nie mógł objaśnić. Przyjętem było nazywać ją panią jenerałową.

Nie będąc bogatą, pani Dermaszowa zajmowała bardzo piękne mieszkanko na Nowym Świecie, miała lokaja, dawała czasem objadki, przyjmowała mnóstwo osób z najrozmaitszych sfer towarzystwa — była osobą poważną, szanowaną i używała powszechnie jak najlepszej sławy.

Była wdową, familji bliższej nie miała, lubiła zajęcie, nie mogła się obejść bez towarzystwa, naturalnem więc było, że mieszkała w mieście, gdzie przytuliska, loterje fantowe, kwesty, opieka nad ochronkami, użytecznie czas jej spędzać dozwalały.

Przyznawano to powszechnie, że do intryg żadnych nigdy się nie mięszała... ale nikt nad nią lepiej nie znał ogromnej liczby osób czemkolwiek na siebie zwracających uwagę...

Charakter jej był zagadką dla wielu. tempe-

rament umiarkowany dozwalał jej o tyle się dać poznać o ile sama chciała. Mówiła oględnie... nie zwierzała się łatwo... a już to samo, że od lat dwudziestu kilku w mieście mieszkając, nigdy skompromitowaną niczem nie była, świadczyło o takcie nadzwyczajnym.

W ogóle pani jenerałowa dla słabości ludzkich była wielce wyrozumiałą, a gdy potępiać co została zmuszona — wolała milczeć.

Po kilkakroć Żabiec miał sposobność różne małe przysługi czynić generałowej, która dla niego okazywała się życzliwą. — Postanowił udać się do niej.

A że teraz wszystko dla niego było wskazówką losu — fatalizmem, gdy wpadł na tę myśl wieczorem, nazajutrz rano, powracającą z kościoła dogonił Dermaszową tuż przy jej mieszkaniu.

— Mam wielką prośbę do pani jenerałowej, — rzekł — całując ją w rękę pokornie. (Lubiła to).

— A no, chodź-że pan, zajdź do mnie... a jeśli w mej mocy... — odpowiedziała.

Weszli milcząc na piętro, a p. Aureli prowadził. Po drodze mowa szła o rzeczach potocznych, potem Dermaszowa poszła kapelusz zrzucić i przyczesać się, powróciła i siadła gotowa słuchać Żabca.

W krótkich słowach, przyzwoicie swoją historję przystroiwszy, p. Aureli opowiedział jenerałowej to, o czem wiedzieć była powinna, aby go

zrozumieć mogła. Rozumie się, iż siebie i ojca odmalował w barwach ofiar... nieszczęśliwych. Dermaszowa słuchała ze współczuciem. Zabiec ją o to tylko prosił, aby przez swe stosunki mogła mu dać jakąś skazówkę, jak sobie miał postąpić z panią Winnicką. Potrzebował mieć jakieś wyobrażenie o jej charakterze, usposobieniu itp.

Nadzwyczaj bystro pojęła od pół słowa jenerałowa o co chodziło, a ledwie nazwisko usłyszała, natychmiast skombinowała, przez kogo może zasięgnąć informację najpewniejszą... jak się dowiedzieć, a bodaj dotrzeć.

— Daj mi pan kilka dni czasu — odezwała się — będę się starała rozsłuchać... — bo dotąd wiem za mało, abym radzić mogła... Jak tylko zbiorę wiadomości, dam panu znać... — bądź cierpliwy.

Zdawała się nawet bardzo brać do serca jenerałowa sprawę p. Aurelego i okazała mu wielkie współczucie...

Tydzień cały upłynął bez wiadomości od pani Dermaszowej, gdy jednego wieczora otrzymał od niej Zabiec bilet wizytowy z zaproszeniem na objad jutrzejszy.

Obiady jenerałowej, prawdę rzekłszy, dla niego były nie zbyt pociągającemi, bo kucharza miała wcale nie osobliwego, ale szło o ciocię Winnickę...

Pan Aureli stawił się na godzinę naznaczoną i znalazł się z Dermaszową sam na sam, gdyż oprócz

niej i jej panny lektorki, milczącej sługi, nie było nikogo.

Przy czarnej kawie, na dany znak wyszła lektorka, jenerałowa westchnęła i poczęła.

— Co tylko mogłam dla pana zebrać o ciotce Winnickiej z domu Czarnogrodzkiej — ściągnęłam, starałam się oprócz tego z nią spotkać, aby własne do tego dołączyć wrażenie... Owoc moich poszukiwań nie wiem czy pana zaspokoi — ale chęci były najlepsze.

Naprzód muszę od tego począć, że pani Winnicka jest osobą zacną, poważną, pobożną, trochę dziwaczną, trochę dawnych pojęć różnych... czasem za surową... ale — przynajmniej ta pociecha, że jaka jest... taką ją znajdziesz, taką w istocie Bóg ją stworzył. Chytrości żadnej.

Strata dzieci dotknęła ją mocno, a że wychowanie siostrzeńców i familji brata się jej niepodobało... odsunęła się i od nich... Żyje samotnie... przyjmuje osób mało... Reszta rodziny więcej do arystokracji ma pretensji, ona najmniej. Jak pana przyjmie i czy przyjąć zechce, tego przewidzieć nie umiem. Spróbować można...

Z tego co mi mówiono, com z ust jej słyszała, wnoszę, że serce ma niezbyt łatwe do poruszenia, a w charakterze pewną nieufność.. Zimna jest w ogólności. Słabostki żadnej nie odkryłam...

Wiem, że w sądach o ludziach nie bardzo jest pobłażającą. Z tego co słyszałam, wnosić można, iż znaczny niegdyś majątek jej z powodu

nieopatrzności dzieci, został nadszarpnięty, ale jest jeszcze zamożną, a żyje bardzo oszczędnie...

Żabiec chciał się poradzić, jakimby sposobem i przez kogo miał próbować dostąpić do pani Winnickiej — a jenerałowa po rozwadze życzyła mu starać się ją spotkać w domu obcym, zaprezentować śmiało, a potem naturalnie odwiedzić i złożyć uszanowanie... Rada była zdrową i praktyczną i p. Aureli podziękowawszy za nią, natychmiast rozpoczął zabiegi o to, aby mógł myśl swą przyprowadzić do skutku... Nie łatwo było jednak znaleść dom taki i trafić właśnie w nim na bytność Winnickiej. Ale — Żabiec teraz wierzył najmocniej, że los się nim opiekować zaczął.

Było to śmiesznem — ale z głowy sobie tego wybić nie mógł.

Tymczasem kilkanaście dni bieganiny, zachodów, szpiegowania, do którego użył panny Salomei ledwie wystarczyły, aby u hrabinej Z., u której pan Aureli bywał dosyć dobrze przyjmowany — zejść się z panią Winnicką.

Żabiec ujrzał przed sobą osobę już dobrze podstarzałą, ale trzymającą się prosto, sztywnie, z głową do góry, ubraną dosyć oryginalnie, w lokach dawnej mody, w szalu jakich już nie noszono, niezmiernie majestatyczną i śmiałą.

Mówiła głośno, patrzyła z góry, nic jej nie imponowało. .

Żabiec natychmiast podszepnął gospodyni kilka słów, tłumacząc jej, że to była ciotka jego,

której nie znał i prosząc o zaprezentowanie. Zawahała się nieco hrabina. ale odmówić nie mogła.

Gdy pan Aureli się zbliżył, a gospodyni wymówiła jego nazwisko, drgnęła pani Winnicka, podniosła oczy, ale zimno i bez wzruszenia przyjąwszy prezentację, zamruczała tylko:

— Bardzo miło mi poznać waćpana. Bawisz tu w Warszawie?

— Tak jest, od dosyć dawna.

— Masz jakie zajęcie? — dodała Winnicka.

Niezrozumiale na to odpowiedział p. Aureli, a że ktoś w tej chwili przeszkodził, usunął się co najprędzej, sądząc, że zdobył tyle ile mu było potrzeba, to jest prawo odwidzenia ciotki, która się go przecie publicznie nie wyparła.

Manewrował tak potem, ażeby się już nie zbliżać nadto, a uważał tylko, że oczy starej Winnickiej ciekawie się ku niemu po kilka razy zwracały. Wymknął się dopiero po wyjeździe jej, nie chcąc wprzódy, aby nie dopuścić rozpytywania o siebie...

Nazajutrz o południu, z bijącem sercem, stał w przedpokoju oddawszy bilet swój służącemu, który go długo jakoś obracał na wszystkie strony nim z nim poszedł do pani.

Chwila była stanowcza — przyjmie go czy nie? a jeżeli odprawi, to w jaki sposób. Oczekiwanie w przedpokoju trwało dosyć długo.

Służący wrócił milczący i — drzwi mu do salonu otworzył, w którym nie było nikogo. Urzą-

dzenie mieszkania nie dozwalało nic wnioskować było niewytworne, zaniedbane, ale czyste.. Sprzęty, stare. Na stoliku dużo książek — wszystkie religijnej treści lub poważne...

Pan Aureli stał jeszcze, gdy w popielatej sukni jedwabnej, w czarnym czepku, weszła zwolna pani Winnicka i powitawszy go, siadła na kanapie, wskazując krzesło siostrzeńcowi.

Żabiec rozpoczął od uniewinnienia się z natrętności.

— Poczytywałem sobie za obowiązek — dodał — pomimo, że pani mogła o mnie z przeszłości powziąć niekorzystne wyobrażenie...

— Nie miałam żadnego — przerwała zimno pani Winnicka...—Bądź co bądź rada jestem lepiej poznać waćpana... Nie mogłam się dowiedzieć nigdy czem się zajmujesz i co robisz... jakie obrałeś powołanie...

— Niestety — ze wstydem to wyznać muszę, rzekł Żabiec—iż od śmierci ojca tak się nieszczęśliwie składały okoliczności, tak mi się nie wiodło w niczem, że dotąd sam niewiem ani czem jestem, ani do czego mam dążyć...

Pani Winnicka słuchając zdawała się więcej szukać wrażenia niż chwytać wyrazy... Egzaminowała fizjognomję -- ruchy... badała człowieka — ale nie okazywała uprzedzenia ani wstrętu.

Żabiec był tak zręczny, że skarżąc się na swój los, nie dał bynajmniej do zrozumienia, iż na czyjąkolwiek bądź pomoc rachował...

Usiłował przeciwnie grać rolę zupełnie zrezygnowanego.

Aż do tej chwili obie działające osoby, które po raz pierwszy spotykały się w życiu, z pewnemi uprzedzeniami patrzyły na siebie, z niejaką obawą.

Był to moment stanowczy, który słusznie by psychologicznym nazwać można, — moment dziwnego zwrotu.

Winnicka zbolała, zastygła, z goryczą przeszłości swej na ustach, bez najmniejszej nadziei na jutro — zniechęcona, ale razem zobojętniała cierpieniem które ją zahartowało, patrzyła na tego powinowatego — odrzuconego, zapartego przez wszystkich i — mimowolnie coś jakby politowanie obudziło się w jej sercu. Było li to w istocie politowanie nad nim, czy nadzieja znalezienia na świecie jakiegoś nowego punktu oparcia? Dosyć, że pani Winnicka wychodziła powoli z obojętności z jaką w początku przyjęła Żabca... Zaczynała być ciekawą...

A pan Aureli? Zepsuty życiem, ale zarazem okrutnie nim zmęczony, co dowodziła nagle pochwycona jak deska zbawienia wiara w jakąś fatalność, p. Aureli, który dotąd wcale uczuciu żadnemu powodować sobą nie dawał, bronił mu się i na zimną rachubę rozumu liczyć był nawykł — cóś się z nim stało, czego on sam nie rozumiał.

Poruszyło się w nim — nie serce... może nerwy — rozpoczął opowiadanie i spowiedź przed

Winnicką, jeszcze będąc panem siebie, pilnując każdego wyrazu, mając się na baczności — gdy — nadszedł ów moment psychologiczny i — może po raz w życiu pierwszy Żabiec dał się pochwycić nieokreślonej jakiejś władzy.

— A, pani — mówił spuszczając oczy... — Nie trzeba mnie obwiniać bardzo, choć doprawdy wstyd mi może wyznać. żem młodość stracił nic nie zrobiwszy dla zabezpieczenia przyszłości... Choć nie powinienem oskarżać nikogo oprócz samego siebie, ale i nieszczęśliwy skład okoliczności, które mnie opasały i opanowały -- coś winien. Od ojca słyszałem ciągle o nadziejach, które się ziścić miały, dźwignąć, dać nam środki... czekałem.

Tymczasem życie uśmiechało się i porywało... Oczekiwanie miało swój urok. Z dnia na dzień odkładała się praca...

Takim ojciec mnie odumarł, wykarmionego nadziejami. zepsutego niemi... i pozostałem do dziś dnia do niczego... Czy kiedy z siebie co uczynić potrafię?

Mówiąc to Żabiec aż się uląkł uczucia, które go objęło — ale właśnie to uczucie doznane rzeczywiście, a nie odegrane, sprawiło, że pani Winnicka także poruszoną się uczuła... choć przygotowana była słuchać go zimno i z niewiarą.

Powtarzamy, był to moment zwrotu, moment psychologiczny w życiu tych obu obcych sobie istot — niezmiernej wagi.

Wszelkie rachuby i przygotowania, z jakiemi

Żabiec tu przychodził, a pani Winnicka przyjąć go miała postanowienie — w proch pełzły. Jaka siła je zniszczyła? określić trudno. Nie było w tem żadnego fatalizmu, nic cudotwórczego, ale po prostu władza ta tajemnicza, którą w niedostatku ściślejszego określenia zowiemy — uczuciem.

Żabiec dał się na krótko pochwycić uczuciu, a to oddziałało siłą swą na zobojętniałą, zlodowaciałą, niechętną mu i uprzedzoną Winnickę.

Nie myślała się nawet bronić, a Aureli, któryby nieochybnie w kim innym wyśmiał to roztkliwienie się nad sobą samym, uległ mu bezwiednie i nie postrzegł się, iż zszedł z bitego gościńca jakim kroczył przez całe życie, aż — gdy mu go pod stopami niestało.

Zląkł się — zamilkł, zdawało mu się, że okropną popełnił omyłkę, i że w oczach ciotki został — zgubionym.

Jak kilkunastoletni chłopaczek, zmięszany, zawstydzony, spuścił oczy i zamilkł.

Gdyby to, co się stało — było tylko odegranem zręcznie — nie ulega wątpliwości, iż zraziłoby i wstręt do niego obudziło w Winnickiej — tymczasem prawdziwość uczucia podziałała przeciwnie.

Niedowierzająca przed chwilą kobieta, w sercu uczuła coś — nieokreślonego... współczucie...

Stanowczy ten moment psychologiczny, jednakże jeszcze rozstrzygniętym nie był. Gdyby Żabiec do swej natury powrócił i zaczął grać komedję

ułożoną zawczasu — niewątpliwie byłby przegrał sprawę.

Ale opanowała go jakaś rozpacz. Nie miał już nic do stracenia, a sprawiało jakąś gorżką przyjemność raz w życiu być sobą... mówić prawdę i ciągnął dalej:

— Tak, pani — niestety — ojciec naprzód, potem ja w jego ślady zmarnowaliśmy życie, chcąc je mieć nadto łatwem i nie zawdzięczać pracy i własnej zdobyczy, ale przypadkowi...

Ojciec zawinił — a winę swą ze krwią przelał na mnie, i oto w trzydziestu kilku leciach, wyżyty, zmęczony, niezdolny do niczego stoję — jak mnie pani widzisz... dalej w istocie nie wiedząc dokąd iść.

Potarł ręką czoło.

Winnicka siedziała zmięszana. Przygotowaną była do najobojętniejszego słuchania swego siostrzeńca, do którego ani ona, ani rodzina nigdy się przyznać nie chciała — w tem, stało się coś, czego panią nie była — w głosie tego człowieka brzmiała prawda, w spowiedzi tej było coś poruszającego. Milczała jeszcze...

Żabiec, nie wiedząc jak sobie tłumaczyć to, coraz silniej owładnięty zwątpieniem, ironicznie się uśmiechał.

— Pani mi przebaczy — rzekł — żem wcale nieprzyzwoicie i nadto otwarcie odpowiedział wyznaniem mojem na jej pytanie. Wiem, że to było nie w miejscu... ale...

Zamilkł, jak dzieciak zawstydzony spuściwszy oczy, a pani Winnicka dodała natychmiast:

— Nigdy się poczciwego uczucia wstydzić nie należy. Wchodzę w pańskie położenie, lecz gdy się je zna i rozumie... trzeba się starać wyjść z niego.

— Za późno — odparł Żabiec — poczynać nowe życie, mając po za sobą ruiny młodości zmarnowanej... a! i niepodobna niestety...

— Więc jakież wyjście? — odezwała się łagodnie i głosem, w którem się przebijało współczucie.

— Nie widzę żadnego — odparł zimno p. Aureli...

Nastąpiło milczenie.

Ciotka, jako krewna nie czuła się bynajmniej nią — ale kobieta osierocona, zbolała — miała litość nad biedakiem, patrzyła nań z ciekawością rozbudzoną.

Młody, przystojny, z głową otwartą, co dowodziła chociaż krótka rozmowa — w pełni życia człowiek — stał przed nią sam uznając, że nie widział dla siebie wyjścia z rozpaczliwego zakątka, w który go losy wpędziły.

— Coś przecie począć pan musisz? — rzekła.

Żabiec nie odpowiedział. Zdawało mu się, że po tak chybionem pierwszem spotkaniu, wcale inaczej obmyślanem, nie pozostawało mu nic już, tylko zawstydzonemu uciec i więcej się tu niepokazywać.

Poruszył się chwytając za kapelusz...

Sztywna i zimna pani patrzyła nań ciągle szklannemi swemi oczyma z wielkiem zajęciem.

— Co się pan tak spieszysz? — odezwała się.

— Muszę uciec choćby ze wstydu —. rzekł wstając p. Aureli — pani mi przebaczy moje dziecinne znalezienie się.

— Siadaj bo pan — przerwała nakazująco Winnicka — i mówmy o czem innem, to jest przynajmniej o innej stronie życia waszego, którego ja jestem ciekawą.

Tłumaczy mnie to, że ono się łączy z losem tej, która była siostrą moją, — dodała... Od śmierci ojca — nie począłeś więc pan nic...

— Po ojcu pozostały mi małe jeszcze środki do życia, a trochę pomagał nam dziad Czarnogrodzki — którego wątpię czy znasz pani — bo ten zawsze zdala stał od rodziny, osobną jej gałąź stanowiąc.

— Teofil! — podchwyciła gospodyni — znam go mało!... jest to uczciwy człowiek, ale — jak my może nadtośmy chcieli panami być, tak ów zbyt chorował na plebejuszowską pokorę... Nie potrzebnie on z nami, a myśmy się z nim rozbratali...

— Z temi środkami — ciągnął dalej Żabiec — wybrałem się w świat i — z dnia na dzień żyło się tak nad skalę zawsze, w położeniu fałszywem...

Rozśmiał się...

— Bawiłem się doskonale — dodał... teraz zapewne przyjdzie zapłacić za to rachunek...

— Wieleż masz lat — marszcząc się nieco podchwyciła gospodyni.

— Trzydzieści i kilka — rzekł Żabiec — ale gdy się przez ten czas nic nie robiło i nie zrobiło — jest to bardzo wiele.

Winnicka pomyślała nieco.

— No, nic — tego pan powiedzieć nie możesz — odezwała się. Już to jest wiele — żeś sam siebie mógł i umiał tak surowo osądzić...

Pan Aureli powtórnie wstać chciał, dławiły go własne wyznania, czuł się zmęczonym okrutnie... Winnicka chciałaby go była może powstrzymać jeszcze, ale z twarzy i z głosu zrozumiała, że potrzeba go było wyzwolić teraz, aby ochłonął. — Widząc, że się wybiera ją pożegnać, odezwała się złagodzonym tonem.

— Jakoś nam dziś nieszczęśliwie poszła pierwsza z sobą rozmowa, ale proszę się nią nie zrażać. Przyjdź pan do mnie, gdy trochę się pojednasz z sobą. — Jestem stara, zmęczona też życiem; mogę panu dać może skuteczną radę jakąś.

Zdziwiony niezmiernie p. Aureli podniósł oczy ku niej. Siedziała na pozór tak martwa i zimna, jak wchodziła do salonu, jaką ją wprzódy widział u jenerałowej — a jednak — była to... zupełnie inna kobieta.

Odrobina uczucia przeistoczyła ją tak, jak za-

palona lampka alabastrową urnę, w którąby była wstawioną. Żabiec odetchnął.

— Przyjdź pan do mnie, powtórzyła. Jaka tam była to była przeszłość — zawsześmy sobie nie zupełnie obcy. Wanda się nas wprzódy wyrzekła niż my jej, a jakeśmy boleli nad tem...

Nie dokończyła Winnicka i zwróciła się znowu po raz trzeci — do pierwszego.

— Przyjdź waćpan do mnie. Już dla samych oczu ludzkich znać się powinniśmy, aby nie posądzono o nienawiść... a nie szperano w naszej przeszłości...

Żabiec już skłoniwszy się — zawrócił do wyjścia.

— Wieczorami ja najczęściej sama jedna siedzę w domu, czytać sobie każę, gdy nikogo nie ma, ale rada jestem i żywym gościom... — poczęła do odchodzącego... — Co dziś mamy?

— Piątek — odpowiedział nieśmiało pan Aureli.

— Jeżeli się waćpan nie obawiasz złego objadu — rzekła — przyjdź w niedzielę, ale uprzedzam, że objad zły będzie, bo ja się na kuchni nie rozumiem, a moja lektorka razem i gospodyni, lepiej czyta, niż objady dysponuje.

Pan Aureli skłonił się raz jeszcze, i jakby upojony wszystkiem co go tu spotkało — znalazł się za progiem.

Wyszedł na ulicę, spory kawał drogi ku do-

mowi ubiegł szybkiemi krokami. nie mogąc się ieszcze opamiętać... co się z nim stało.

W istocie — nic nadzwyczajnego... a mimo to Żabiec doznał takiego wrażenia, jakby w życiu jego ważna, rozstrzygająca chwila nadeszła...

O rodzaju życia, jakie w Warszawie prowadził Żabiec, mówiliśmy już. — Ocierając się o mnóstwo różnego rodzaju ludzi, stał się dla wielu potrzebnym.

Wygodnie z nim było. Wesół, dowcipny, uczynny chętnie, doskonale rozumiejący się na urządzaniu wszelkiej biby, śniadań, objadów, partyjek, przy kartach nie kłótliwy, pieniędzy własnych nie oszczędzający i nie potrzebujący ich zwykle od drugich — był pomocnikiem, doradcą, przyjacielem nieocenionym. Rzadko się też co bez niego obeszło. Wiedziano, że gdzie nie ma Aurelego, tam wesołości nie będzie, czegoś zabraknie, coś się nie uda. Dotąd, nie mając nic do czynienia, nigdy w takich razach nie odmawiał, ale warunkiem było, że obejmował komendę w takim razie i grał despotycznie rolę gospodarza, a kieszeni jego nie oszczędzał. Ale cóż było robić, kiedy wiedziano, że często z własnej dokładał, gdy mu się kto sprzeciwił.

Było dotąd we zwyczaju przybiedz na Mokotowską ulicę, albo wyszukać z drzwi Aurelego i rzucić mu się na szyję.

— Kochany, daję wieczorek... — zmiłuj się — urządź, bez ciebie nie dam rady!

Nikt nie wiedział w ostatnich dniach co się działo z Żabcem, ale się nikt nie mógł ani domyślać, ani przeczuwać, ażeby w nim zmiana jaka zajść mogła...

Powracał p. Aureli cały przejęty jeszcze dziwną rozmową z ciotką, poruszony do głębi, nie swój — gdy w ulicy uczuł rękę na ramieniu swojem i posłyszał głos dobrze mu znany, niejakiego Barszewskiego, obywatela z Wołynia, który z większą poufałością niż znajomość była — wykrzyknął:

— Panie Aureli, na miłość Bożą, ratuj!— Barszewski zresztą dobry kawał człowieka, był namiętnym do kart, lubił pić i jeść, majątek tracił, a nie miał za sobą nic, oprócz tego, że był — jak utrzymywano — honorowym człowiekiem, to jest, że płacił gdy przegrywał i w karty nie oszukiwał. Żabiec nie bardzo go lubił... — ale razy kilka był mu mentorem, bo Barszewski pieniędzy nie żałował.

Pierwszy raz w życiu doznał zaczepiony przykrego jakiegoś uczucia... — przeczuwał czego od niego mógł żądać ten przyjaciel i zawstydził się.

— Otoż jedyna sprawa, do której zdolności nikt mi nie zaprzeczy!

Wydało mu się to upokarzającem — kwaśną minę zrobił.

— Kochany — począł bełkocąc Barszewski — zaprosili się do mnie n a s i, na pojutrze... — aj bez ciebie, popełnię jakiegoś bąka.

Żabiec się skrzywił.

— Daruj — rzekł zimno — czuję się nie zdrów i tak zmęczony, że tym razem służyć nie mogę.

Wołyniak stanął osłupiały — uszom nie wierzył.

— Ale, zmiłuj się! — rachowałem na ciebie jak na cztery tuzy...

— Widzisz, kochany Barszewski — rzekł smutnie Żabiec — że na cztery tuzy nigdy rachować nie można na pewno. Przychodzą one czasami, ale nie wówczas, gdy się rachuje na nie.

To mówiąc ścisnął go za rękę i oddalił się spiesznie.

Co się z nim stało? Sam nie pojmował, czuł tylko, że coś zaszło, co pogląd jego na własne życie zmieniło... Wyszedł od Winnickiej innym...

Czuł się biedniejszym może niż był, ale z obrzydzeniem prawie spoglądał na przeszłość. Chciał się zamknąć, dumać, wnijść w siebie. Nagły ten zwrot niemal go przestraszał, nie przypuszczał, ażeby on był możliwym.

Nie starając się już o spędzenie reszty dnia z ludźmi, nie szukając ich jak zwykle, Żabiec zawrócił się wprost do domu, na Mokotowską ulicę.

Tu Rzepski, który się go nie spodziewał tak rychło z powrotem, włożywszy okulary właśnie był rozpoczął amatorską restaurację uszkodzonej garderoby swej i najniezgrabniej w świecie wywijał

igłą, koląc się w palce, gdyż naparstka nie używał — gdy posłyszał wracającego pana.

Co najprędzej więc pochował przybory łatacza i pobiegł zobaczyć co się działo z panem. Pan Aureli z niedalekiej restauracji, w której nigdy nie jadał, kazał sobie przynieść zupę i kawałek mięsa, i nie tłumacząc się Rzepskiemu, zasiadł w sypialnym pokoju na rozmyślanie.

Co się w duszy jego działo? Nie potrafimy z tego zdać sprawy... Są takie stany przechodnie, odcienia uczuć i myśli, walki wewnętrzne, których procesu niepodobna określić, tak w tajemniczy sposób się dokonywa, nieznacznie i powolnie.

Człowiek albo się wcale nie zmienia i powierzchownie tylko a pozornie przybiera inną fizjognomję, albo metamorfoza — zawsze w kierunku natury jego, dokonywa się powolnie bardzo i skutkiem walki nie od razu rozstrzygniętej.

Żabiec po tylu leciech płochego życia, upojenia — nie mógł się od razu wytrzeźwić.

Powrócił prawie oburzony na Barszewskiego, a w domu począł sobie wyrzucać to, że nie wiedzieć dla czego mu odmówił, naraził go sobie i zbył się, gdy mógł zyskać na tem przyjemnie spędzony wieczór.

Ale — dziwna rzecz — ta nazwa wieczoru przyjemnego zastosowana do kilku godzin spędzonych przy kartach, na powtarzaniu sto razy słyszanych konceptów, na jedzeniu przysmaków które się przejadły — wydała mu się szyderstwem

Dla czego to, co wczoraj było mu dobrem, nagle stało się niegodnem jego? On sam nie wiedział.

Myśl powróciła do ciotki Winnickiej.

Wyobrażał ją sobie wcale inaczej... Wydała mu się poważną, rozumną, a co więcej — z taktem, umiarkowaną, Nie odprawiła go niegrzecznie, nie pozbyła się impertynencko, choć niemal się tego mógł spodziewać, okazała powolną. Nie była też serdeczną.

Nie umiał a pragnął ją odgadnąć! Miał prawo teraz bywać u niej... nie odpychała go. Był więc ściśle biorąc, nie sam już jeden na świecie, wiązało go coś z rodziną — miał krewnych... należał do społeczeństwa. Zmieniało to w oczach jego położenie całkowicie.

Czy dla tego odmówił Barszewskiemu? Nie był pewnym. Więcej mu dokuczała myśl ta, iż — do niczego innego nie uznawano go zdolnym, tylko do urządzania wieczorków...

— Miałażby to być na wiek wieków specjalność moja? — pytał się siebie z ironją gorżką.

Za tem szło inne pytanie...

Do czego więc ja bym był zdolnym... Egzamin, któremu się poddał, wypadł niepomyślnie. Wszyscy ci ludzie, z którymi żył zwykle, w których kole się obracał, głupsi byli od niego, czuł to i był o tem przekonanym, — wiedział, że nad nich był duchowo wyższym, ale każdy z tych lu-

dzi coś umiał, coś robił, miał cel jakiś — on zaś?... Gniewał się na siebie...

Przyszła mu na myśl ta nieznośna Salusia, która zabrała mu strychninę... Kropla jedna i wszystko byłoby skończone, daleko łatwiej niż z ciotką.

Strychninę tę kupił drogo, bardzo drogo u znajomego aptekarza, dając mu słowo, że ona... w pewnym tylko razie ostatecznej konieczności dla ocalenia honoru miała być użytą. Aptekarz kazał sobie zapłacić niesłychanie drogo, a pomimo to miał podejrzenie, iż to nie była piorunująca strychnina, ale może jakieś lekarstwo... które by tylko męczarnię sprowadziło...

Z rewolweru zaś, chybić tak łatwo, kula się może ośliznąć. Kalectwo i śmieszność!! Lepiej śmierć...

Okazywało się, że i umrzeć nie było łatwem. Cóż więc począć?

Myśl powoli na coraz poważniejsze dążyła tory... Czekać, próbować, ścisnąć się — zwolna ograniczyć... Opuścić Warszawę, ale dokąd ztąd, i z czem!

Siadł rachować coby mógł zebrać różnych resztek, sprzedażą niepotrzebnych sprzętów, odzyskaniem pieniędzy porozpożyczanych... Z ołówkiem w ręku spędził godzinę nad papierem kreśląc, karykatury bezmyślnie. Cyfry doprowadziły go do kilkuset rubli...

Ile to czasu, przy zmianie życia przedstawiać mogło??

Zmierzch znalazł Żabca zadumanego nad stołem.

Rzepski, który go nie widywał nigdy w takim stanie, niespokojny, co kwadrans podchodził do drzwi — zaglądał, przypatrywał mu się i głową potrząsał.

— Co mu to jest? liczy? No — kiedy już liczy — to źle.

Zciemniało się gdy do Rzepskiego weszła Salusia. Zdał jej sprawę na ucho z tego co się działo, potrząsnęła głową i śmiało weszła do pokoju. Zobaczywszy ją — choć gniewał się na nią i nielubił, ledwie się nie ucieszył, porwał się od stolika...

— Przyszłam się przekonać czy pan słowa dotrzymuje? — odezwała się szydersko.

— Widzisz... — a moja flaszeczka? — zapytał.

— Ale! w Wiśle ją utopiłam! — rozśmiała się Salusia, siadając poufale przy drzwiach.

— Szkoda, bo dużo kosztowała, a ja drugą będę musiał kupić.

— A! nie — odparła panna Salomea — kto sobie raz pozwolił odebrać, drugi raz nie kupuje?

Zmarszczył się Żabiec, ale natychmiast zmienił rozmowę.

— No, cóż na to powiesz, że poznałem ciotkę Winnicką? — zapytał.

Panna Salomea popatrzyła, aby się przekonać, czy nie żartował.

— Słowo daję — byłem u niej — rzekł lekceważąco Aureli.

— I cóż?

— Stara osoba — ale... nie wydała mi się głupią — brutalnie począł Żabiec.... Naprzód nie wyparła się mnie... powtóre nie była też nadto czułą... okazała się obcą, ale grzeczną.

— Albo to na początek nie dosyć! — żywo odezwała się panna Salomea — cóż pan chciałeś, aby panu do nóg padła?

Żabiec zapatrzył się w okno.

— Jestem u niej w niedzielę na objedzie.

W milczeniu ręce złożyła panna.

— Opatrzność Boża! — szepnęła — a po przestanku dodała — jeżeli na lepsze to wyjdzie — przyznasz pan, że i ta Salusia, którą pan szurgotem przezywałeś, na coś się w świecie przydać może.

Rozśmiał się p. Aureli.

— Serjo prosiła na objad? — spytała stara panna.

— Słowo daję — zapowiedziała nawet, że będzie zły....

— O i dla takiej zepsutej gęby jak pańska . .. szepnęła Salomea.

Żabiec upadł na krzesło i zadumał się....

Rozmowa już się dłużej przeciągać nie mogła, — stara panna tylko siedząc milcząca, o ile zmrok dozwalał, wpatrywała się w Żabca, usiłując z twa-

rzy odgadnąć to — o czem się od niego nie spodziewała dowiedzieć.

On już był myślami gdzie indziej, a było to tak widocznem, że Salomea nie chcąc mu zawadzać, wysunęła się po cichu, nie żegnając się, do Rzepskiego.

Żabiec w istocie nierad z siebie, rozmyślał nad tem, dlaczego tak niegrzecznie prawie Barszewskiego odprawił. Było to tak dalece nie w jego obyczaju, iż mogło przybrać znaczenie, wywoływać tłumaczenia, zwrócić przedwcześnie niepotrzebnie uwagę na niego. Była to niezręczność.

Pan Aureli już nałogowo zwracał się z tej drogi, na której zaledwie jeden krok postawił. Nie miał siły wytrwać tam, gdzie się walka zapowiadała. Starał się więc wytłumaczyć sam przed sobą, że popełnił omyłkę. Należało ją naprawić, nie zrywać tak od razu ze wszystkimi, gdy sam jeszcze nie wiedział, co potem ma nastąpić! Na ciotkę Winnicką wcale nie liczył.

Po wyjściu panny Salomei, coraz bardziej się w tem przekonaniu utwierdzał Żabiec, iż — postąpił nierozważnie. Nazajutrz potrzeba się było starać to zatrzeć.

Było to oznaką słabości i wahania się... powracał do starego nałogu grania komedji życia.

Nazajutrz też rano, niecierpliwy, puścił się na miasto, prawie jedynie w tym celu, aby Barszewskiego spotkać. Nie wątpił, że Wołyniak, zobaczywszy go, rad będzie zbliżyć się, a może go zaprosi

na ten wieczór. którego urządzenia się nie podjął. Chciał nawet być na tym wieczorze, aby zawczasu nie dostrzeżono zmiany jakiejś w jego postępowaniu, gdy on sam nie wiedział, czy — ona przyjdzie do skutku.

Gdy pan Aureli życzył sobie czego mocno, umiał się o to postarać. Manewrował tak, iż w istocie napotkał Barszewskiego, który zdala ku niemu obie ręce wyciągał.

Żabiec podszedł z trochę rozjaśnioną twarzą.

— Co ci się wczoraj stało! — spytał Wołyniak...

— Przepraszam cię — rzekł, ściskając podaną rękę Żabiec — nie miej mi za złe, jestem w istocie niezdrów i mam rozmaite drobne przykrości. Nie mogłem ci służyć...

— Ale nie masz nic do mnie, osobiście? — zapytał niespokojnie Barszewski.

— Zmiłuj się! za co! jakie przypuszczenie! — odparł Żabiec.

Dowiedźże mnie o tem i przyjdź się rozerwać — dodał Wołyniak. — Będziesz miał zręczność przekonać się z byków, jakie popełnię, iż niedarmo żądałem twej opieki.

Żabiec przyrzekł, że służyć będzie, naprawiając wreszcie pierwsze swe wystąpienie szorstkie — dał parę skazówek Barszewskiemu co do wieczerzy i wyboru wina, nie radząc brać u jednego kupca wszystkich gatunków, ale zwrócić się do znanych specjalnych składów i t. p.

Barszewski to sobie zapisał.

Tak naprawiwszy to, co mu się wydawało omyłką, spokojniejszym był już Żabiec i na wieczór do Barszewskiego wybrał się, ani zbyt opóźniając, ani za nadto wcześnie, aby gospodarzowi nie pomagać czynnie, bo tego też sobie nie życzył.

Wesoła gromadka składała się z samych osób znajomych, a celem przyięcia były widocznie — karty. Pomiędzy innymi gośćmi znalazł się i Korjatowski... Raz wpadłszy w towarzystwo — zabawiające się, choć może młody prawnik nie miał powołania do niego, z trudnością się mógł wyłamać zaproszeniom. Jest to coś podobnego do pochwycenia przez machinę, będącą w biegu. Dosyć się dać ująć za koniec poły surduta, aby już nie być panem siebie. Korjatowski, choć nie bardzo chętnie, tym razem bawić się musiał.

Zetknęli się zaraz z Żabcem, który tego wieczora grać nie chciał, bo w istocie nie miał co stawić, a ostatniego grosza nie życzył sobie ryzykować. Prawnik począł mu się tłumaczyć, dlaczego w jego interesie procesu mu nie doradzał. Dziękował mu p. Aureli. Siedzieli przy sobie u wieczerzy, która wszystkich rozweseliła. Żabiec też uczuł się podnieconym, a Korjatowskiego znajdował sympatycznym i, gdy po wieczerzy zapalili cygara, siadł z nim na boku do dłuższej rozmowy, potrzebował się wywnętrzyć... Nie było to dawniej w jego zwyczaju, ale Korjatowski i tak się łatwo

położenia mógł domyśleć że nie potrzebował się ukrywać przed nim.

— Widzicie mnie podrażnionym, nie swoim — mówił do prawnika. — Nie ma nic dziwnego, są takie chwile w życiu, gdy człowiek się zawahać musi — co dalej! Młodość długo zaślepia na następstwa, lecz w końcu oczy się otwierają.

Właśnie ja jestem na tem rozdrożu, westchnął p. Aureli, patrząc na Korjatowskiego, który słuchał go sympatycznie, — muszę coś począć. Zbytniośmy rachowali na rodzinę mojej matki. Starałem się teraz, idąc za waszą radą, zbliżyć się do ciotki... no — i to cud, że mi od razu odprawy nie dała, ale to żadnych za sobą następstw nie ciągnie. Trzeba coś począć!

— Cóż pan myślisz? — zapytał Korjatowski.

— W tem sęk — rozśmiał się Żabiec. Szczerze i otwarcie, dotąd wcale nie myślałem o przyszłości, spuszczając się na to, że los mi coś nastręczy, że fortunę tylko za włosy potrzeba będzie pochwycić....

Spojrzeli sobie w oczy....

— Ludzie w mojem położeniu — dodał Żabiec — nadrabiając wesołością przymuszoną — zwykli, doszedłszy do tej mety, najczęściej szukać wybawienia w — ożenieniu — ale to rzecz obrzydliwa....

— Dla czego? — spytał Korjatowski.

— Sprzedać się? — rzekł pan Aureli.

— Nie — odparł prawnik — nie jest to

sprzedaż, ale wymiana. Możesz pan młodość swą, stosunki, nazwisko położyć z jednej strony na szali, a z drugiej wymagać, aby do spółki coś włożono.... Jest to rzecz naturalna i wreszcie tak zwyczajem powszechnym uświęcona....

— A jednak upokarzająca i wstrętliwa — dodał Żabiec — wolałbym coś innego....

— A jeśli się nic innego nie znajdzie, czas nagli i pan się niecierpliwisz — dodał Korjatowski.

Zamilkli — mimowolnie myślą Żabiec przebiegł te znajome sobie panny i wdowy, które były do — wzięcia.... Stręczono mu nieraz nie jedną. Był to w istocie sposób łatwy wyjścia z tego prowizorjum....

Westchnął.

— W tych rzeczach radzić i namawiać nie przystało — rzekł w końcu prawnik. — Ale życzę się nie uprzedzać zbytnio przeciwko ożenieniu. Jesteś pan podrażniony, zniechęcony życiem tem, które prowadzisz — należy spróbować....

Pan Aureli nie odpowiedział nic — lecz obrona ożenienia utkwiła w nim. Dogadzało to jego zgnuśnieniu... Do niczego się nie czuł zdolnym, obawiał się nowicjatu nie majac mocy nad sobą...

Cały wieczór przypatrując się grającym a nie dawszy namówić do gry, przedumał dosiedziawszy u Barszewskiego do ostatka. Wszyscy dawni znajomi dostrzegli w nim zmianę, domyślali się ja-

kiejś troski, dopytywali go co mu było, zbywał ich żarcikami...

Na objad do pani Winnickiej poszedł mniej mając nadziei, aby ten stosunek z ciotką miał się mu czemkolwiek opłacić.

Znalazł ją, pomimo niedzieli i objadu bynajmniej niezmienioną, w tej samej sukni popielatej, z tą samą twarzą poważną, spokojną a smutną. Przywitała go dosyć uprzejmie, bez zbytnich ceremonij, jako już dawniej znajomego, ale nie dając poczuć, ażeby pokrewieństwo wpływało na jej obejście się. Byli tak jak sami, gdyż lektorka i gospodyni zarazem, niemłoda i niezwykle brzydka panna, w której oczach było wiele rozumu i rozbudzonego ducha — prawie się do rozmowy nie mięszała. Zaledwie odpowiadając na zapytania.

Pod wpływem usposobienia pani Winnickiej zapatrującej się na świat z goryczą zawiedzionej na życiu kobiety — Zabiec także ostro sądził ludzi, nie oszczędzając i siebie.

Winnicka zdawała się nad wszystko ciekawą, jaką sobie przyszłość gotował i marzył siostrzeniec.

Pan Aureli dobrodusznie, obojętnie odpowiadał że właśnie stoi na tym punkcie, iż potrzebę wyboru jakiegoś widzi, a waha się.

— Wszystko równie mi się przedstawia niesmacznie — mówił uśmiechający się z goryczą... — Najprostszem zresztą zakończeniem tak zmarnowanych

lat, jak moje, dodał, bywa zwykle ożenienie.

Winnicka ruszyła ramionami.

— W tych warunkach — rzekła zimno — dla mężczyzny jest to abdykacja...

Żabiec nie zaprzeczał.

— Ale, proszę pani — rzekł szydersko — gdy kto się rządzić nie umiał, właściwą jest rzeczą że abdykować musi.

— Smutno — zakończyła pani Winnicka.

Rozmowa przy stole tak się znowu potoczyła, jakby Winnicka miała zamiar zbadać, do czego miał powołanie Żabiec. On, raz wszedłszy na ten tor wyśmiewania samego siebie, nie schodził z niego.

— Prawdę rzekłszy — dodał — ja w życiu powołanie i passyjkę miałem tylko jedną, nie wyjmując tych wszystkich chwilowych zachcianek, które są tylko instynktami zwierzęcia głodnego... Gdyby ojciec był mi pozwolił, zostałbym niechybnie artystą, ale to do niczego nie prowadzi.

— Jakto artystą? — z pewnym przestrachem odparła Winnicka — artystą dramatycznym?

— A! nie — prędko podchwycił Żabiec — komedjantami jesteśmy wszyscy po troszę, ale jabym był został może malarzem. Dotąd jeszcze, gdy mogę pochwycić ołówek i kawałek papieru, gryzmolę z wielkim zapałem...

— Czemużeś się nie uczył? — spytała Winnicka.

— Najprzód ojciec był temu przeciwnym, — rzekł Żabiec — bo uważał to za coś pośledniego, potem było za późno, na ostatek... mówiłem już, to do niczego nie prowadzi.

— Jakto — przerwała gospodyni. — Malarstwo prowadzi do sławy, a nawet do pieniędzy — ale potrzeba mu się oddać, i tak w niem ciężki odbyć nowicjat, jak w każdem innem powołaniu.

— A jeśli po odbyciu nowicjatu okaże się, iż talentu nie było! — rzekł smutnie p. Aureli.— Wszak i to jest możliwem? Ochota nie dowodzi jeszcze zdolności...

— Tak, ale wszędzię i zawsze coś się ryzykuje - odpowiedziała Winnicka.

— Szkoda że dziś za późno! — westchnął Żabiec.

— Mnie się nie zdaje aby, jeżeli powołanie trwa w trzydziestu leciech, zapóźno było mu się poświęcić. Słyszałam o jednym dyplomacie w Krymie, który lat mając sześćdziesiąt, gdy stracił posadę poselską, wziął się do malarstwa i — potrafił zdobyć sobie imię.

— Do czego mu pewnie więcej dawne jego dyplomatyczne stanowisko dopomogło niż talent — rzekł Żabiec.

— I to być może — potwierdziła Winnicka. Rozmowa tak z przedmiotu na przedmiot przechodząc, to przeskakując znowu, pomimo że ciotka starała się odebrać jej ten charakter, była

rzeczywistym egzaminem: a jak się uczeń z niego wywiązał, gospodyni uczuć mu nie dała. Uprzejmą była do ostatka — lecz wcale nie obiecywała aby na nią mógł co rachować... Trzymała się zimno, grzecznie, nie wiążąc niczem.

Żabiec to rozumiał doskonale, że się wystrzegała tego, aby nie dać mu powziąć jakichś nadziei.

Po objedzie i czarnej kawie, w ciągu których p. Aureli nie dał ani na chwilę znudzić się gospodyni i starał okazać pełnym werwy i życia, — potrzeba było się pożegnać... Winnicka nie zatrzymywała go, ale przypomniała mu grzecznie znowu, iż miło jej widzieć go będzie u siebie i zaprosiła, aby o niej nie zapominał.

Żabiec wyszedł zniechęcony i zrażony. Bolało go to szczególniej, że się przed Winnicką odsłonił, odkrył, — przyznał do grzechów i nic na tem nie zyskał, oprócz rady, ażeby — uczył się bodaj malować.

To było po prostu śmiesznem

Wracając kwaśny na Mokotowską ulicę, przypomniał sobie rozmowę z Korjatowskim i wszystkie jego sofizmaty w obronie ożenienia użyte.

Gotów był ożenić się.

Tak — dla zleniwiałego człowieka jakim on był — ożenienie było najłatwiejszym środkiem wyzwolenia się od troski o jutro...

Wkładało więzy, uwłaczało godności — to

prawda — ale Żabiec i tak już się czuł upokorzonym i przywiedzionym do ostateczności...

Zwrot ten nowy na pozór, był w istocie tylko warjantem i złagodzonem samobójstwem. Miało ożenienie zastąpić strychninę i rewolwer...

Mimowoli myśl jego wróciła do tego dnia, któryby był mógł zakończyć wszystko, gdyby fatalność jakaś nie zesłała Salusi. śmiesznego tego narzędzia... którego się wstydził Żabiec... Przypomniał sobie jak obchodził raz ostatni swoje mieszkanie i pochylił się w kątku, żegnając ów obrazek, widoczek szwajcarski z białą na nim sukienką...

Pan Aureli westchnął...

Ta biała sukienka była to jedyna miłość jego w życiu, a przynajmniej coś — do miłości podobnego...

Było to w pierwszych latach po śmierci ojca, gdy Żabiec zabrawszy po nim resztki kapitałów zmarnowanych, puścił się za granicę rozmarzony... chciwy wrażeń.

Wówczas zatrzymawszy się w Montreux, zwidzał okolice i oglądając wsławiony poematem Byrona Chillon, spotkał w podziemiach jego... Polkę... Była to młoda panienka z matką... Język polski zawiązał znajomość, matka i córka dla kuracji winogronowej i powietrza, mieszkały i zimę spędzić miały w okolicy Montreux... Matkę zwano hrabiną — pochodziły z Galicji.

Pan Aureli naówczas miał oprócz wdzięku młodości i piękności męzkiej, którą się odznaczał —

powierzchowność łudzącą, arystokratyczną, dystyngowaną, tak, że choć nazwisko jego nie mówiło nic — domyślano się w nim co najmniej bardzo majętnego młodzieńca. Umiał też sobie nadawać pozór dostatku...

Hrabianka Eleonora była brunetką zachwycającej piękności, wychowaną do wielkiego świata, przeznaczoną dla niego. Matka i ona żyły za granicą na stopie wielkiej, zajmowały całą willę dla siebie, otaczała je służba liczna, trzymały ekwipaż

Pan Aureli zawiązawszy szczęśliwie znajomość, umiał się dać zaprosić, towarzyszył w przejażdżkach, służył hrabinie. Piękna Eleonora dawała mu pierwszeństwo pomiędzy mnogimi wielbicielami najrozmaitszych narodowości, jacy ją otaczali— ale matka w końcu zwróciła na to uwagę, ulękła się niespokojna i p. Aureli został z raju wygnanym, a gdy to nie pomogło, hrabina skróciła pobyt swój w Montreux i zmieniła go na Meran.

Żabiec potajemnie wkradł się i tam, ale pokazywać się nie śmiał... i po jakiemś smutnem przejściu... pozostał tu sam... matka córkę uwiozła.

Cały ten stosunek okryty był tajemnicą. — P. Aureli powrócił do kraju, a po kilku leciech znalazł ideał swój zamężną panią w Warszawie. Zbliżyć się do niej nie śmiał, czy nie chciał, czy nie mógł? — trzymał się zdaleka. Należała ona do świata, który chociaż był dla niego przystępnym, lecz w nim Żabiec czuł się tylko tolerowanym... Uczucie to pogrzebione, musiało być dro-

giem dla niego. bo się z niem krył, aby go nie sprofanowały ludzkie oczy i domysły. Tajemnica okrywała ten epizod, który po sobie zostawił gorycz i smutek.

Teraz gdy z konieczności myślał o ożenieniu p. Aureli — wspomnienia Montreux, Meranu i... tych lat dawnych, powracały odżywione... Serce jego odtąd nigdy już się nie poruszyło uczuciem podobnem, było ono jedne i jedyne w życiu jego.

Przyczyniło mu tylko goryczy.

Spotykali się czasem na świecie, jakby się nie znali; oczy ich wzajemnie się szukały i unikały.— W towarzystwach, w których ją znajdował, Zabiec siadał zdaleka, milczący — i tak często długo bawił, że się wstydził sam niewiedząc jak opóźnił się z pożegnaniem. A potem cały dzień następny chodził posępny... i nieszczęśliwy. Może wspomnienie hrabianki Eleonory było przyczyną że mu się zdawało niepodobieństwem ożenienie.

Teraz jednak — potrzeba było wyrzec się dziwactw i mrzonek.

Winnicka, którą spotkał w kilka dni potem i witał z daleka, zbliżyła się sama do niego.

— Stara jestem — rzekła mu chłodno — i łatwo nałogi sobie tworzę. Byłeś pan u mnie raz w niedzielę na złym objedzie, zrób że z siebie ofiarę, przychodź zawsze w niedzielę...

Pan Aureli się ukłonił, umiejąc ocenić ten dowód łaski, zaczynał nabierać nadziei, że może cio-

tka istotnie sobie bliskie pokrewieństwo przypomni.

Wyobrażał sobie, gdy niedziela nadeszła, że znowu z lektorką tylko będą sami i przykro mu się zrobiło, postrzegłszy na kanapie siedzącą przy ciotce, dobrze mu znaną — pewną bogatą, niemłodą, wielce oryginalną pannę na wydaniu, która pomimo miljona doszła do lat czterdziestu nie znalazłszy mężczyzny, którzyby się do jej ręki posunąć odważył.

Ponieważ mu ją już dawniej swatano, uderzyło go to nieprzyjemnie, iż ciotka ją, jakby w myśli pewnej, zaprosiła.

Panna Klotylda D... zwana Klosią, była osobistością znaną powszechnie. Sierota, bez rodziny prawie, pani siebie i znacznego majątku, z twarzy nie brzydka, choć zwiędła już, panna Klotylda zdawała się nie myśleć o zamążpójściu, była spokojną, urządziła sobie życie jak najznośniejsze — i śmiałkom, co się do jej ręki jeszcze ważyli posuwać dawała odkosze niemiłosiernie...

Nieco otyła, rumiana, zdrowa, ubrana niewykwintnie, zawsze ze szkiełkiem w ręku, bo wzrok miała krótki — czytała wiele, zabawiała się malowaniem, układała zielniki, wychowywała sierotki a w towarzystwie miała tak śmiałe sposoby wyrażania się, że w podziw wprawiała tych, co ją nie znali. . .

Na co ją Winnicka zaprosiła? — mówił sobie Aureli od progu — i gniewał się, ale obiecy-

wał zarazem, że od razu odbierze wszelką nadzieję ciotce, która go tak śmiesznie swatała. Ożenienie z panną Klotyldą zdolne było skompromitować i zabić w opinji człowieka na wieki. On przecież tak zdesperowanym nie był.

Z kwaśną miną począł się witać. Przeciwnie panna Klotylda przywitała go wesoło i była bardzo rozmowną. Zaledwie się zawiązała rozmowa, gdy zwróciwszy się do Aurelego, zapytała go:

— Czy to prawda, co mi mówi pani Winnicka, że pan czujesz także powołanie artystyczne i że przyznałeś się do tego, że radbyś był malarzem być?

Aureli się rozśmiał.

— W istocie miałem i mam fantazję — rzekł — ale czy to było powołanie, nie wiem...

— A czemużeś pan nie próbował się zbadać? — pytała panna.

— Bo to do niczego nie prowadzi, zwłaszcza u nas — mówił Aureli.

— Ale pan i tak nie miałeś nic lepszego do roboty — odparła otwarcie Klosia — nie jest to tajemnica, żeś prowadził życie, bawiąc się... a ręczę panu i mówię to z doświadczenia, bo sama bazgrzę, iż nic w świecie przyjemniej chwil nie zajmuje nad malowanie. Ja nie wiem, cobym poczęła, gdyby nie pędzelki. Czytać zawsze niepodobna, dziennika nie prowadzę... ciągle ludzi szukać nie można i kazać się im bawić... a przy sztaludze godziny piorunem lecą.

Żabiec słuchał obojętnie.

— Na to trzeba coś umieć — odparł — ja nie umiem nic...

Od malarstwa przeszli do innych przedmiotów. Panna Klotylda była w usposobieniu wyśmienitem i jakby na przekory zwracała się ciągle do pana Aurelego. którego to niecierpliwiło. Starał się wciągnąć do rozmowy Winnicką. ale ta była milczącą.

Z tem usposobieniem usiedli do stołu. ale — stało się, czego pan Aureli nie przewidywał. Klosia była tak miłą, rozsądną, tak swobodną i w wielu rzeczach jej przekonania się zgadzały tak dziwnie z jego własnemi, że zapomniawszy o uprzedzeniu... ożywił się on i rozweselił.

Pod koniec objadu wytłumaczył sobie, że Winnicka nie mogła mieć zamiaru swatania go tak śmiesznego, że mu się to przywidziało chyba.... Wpłynęło to na stosunek lepszy z panną Klotyldą.

Przy czarnej kawie, stara panna spytała nagle Żabca:

— Czemu pan nigdy u mnie nie bywasz?

— Ja? — zapytał Aureli — nie śmiałem być natrętnym. a nie sądziłem. abyś pani mogła sobie tego życzyć.

— Owszem — odparła śmiało stara panna — Nie skompromituje to pana, bo nikt go nie posądzi, żebyś się mógł starać o mnie... a czasem byś spoczął po tej wrzawie kawalerskich kółek, które pana męczyć muszą...

Aureli się skłonił.

Panna Klotylda popatrzywszy na zegarek oddaliła się pierwsza. Żabiec został jeszcze z Winnicką, chociaż także kapelusz już miał w ręku.

— Ludzie się na niej nie poznali — odezwała się po wyjściu Klotyldy, gospodyni. Co za szkoda tej kobiety!

— Mnie się zdaje — odparł Aureli — że panna Klotylda sama sobie winna, iż pozostała panną. — Na starających się jej pewno nie zbywało, ale wymagała za wiele.

— Być może — odpowiedziała Winnicka — a nie mniej szkoda, bo byłaby towarzyszką i przyjaciółką bardzo miłą, a serce ma najlepsze.... No i brzydką nie jest.

Aureli zmilczał, bo go te pochwały znowu nieprzyjemnie dotknęły....

Winnicka spojrzała mu w oczy i pożegnali się.

Żabiec powrócił do domu zburzony, zwichnięty, niepewien siebie, a rozdrażniony do najwyższego stopnia.

Spotkanie u ciotki z tą starą panną, widocznie obmyślane i przygotowane, dotknęło go boleśnie. Uważano go więc za tak zrozpaczonego, iż można mu było pannę Klotyldę narzucać.

A pani Winnicka ze swych obowiązków pokrewieństwa chciała się w ten sposób wyswobodzić, swatając mu pannę, z którą ożenienie okryło by go śmiesznością...

Myśl jego znowu rozpaczliwie się zwróciła ku strychninie i rewolwerowi. Nie — nie było już dla niego ratunku innego, tylko pożegnać się i zniknąć...

Ale gdy powróciwszy na Mokotowską ulicę, znowu o samobójstwie rozmyślać zaczął — uczuł, że ono było rzeczą upadlającą, rzucającą plamę na pamięć człowieka... Znajdował, że popełnić samobójstwo bardzo było można w jego położeniu, ale należało je tak okryć i tak osłonić, aby śmierć przypisano przypadkowi, a nie słabości człowieka, który padł uznając się zwyciężonym...

Wszystko wydawało mu się straszliwie czarne, nieznośne — obrzydliwe... Nie było wyjścia! nie było wyjścia!

Przeklinał Salusię... która mu przeszkodziła... Wszystko teraz byłoby skończone...

*
* *

Gdy pan Aureli, ocalony istnym przypadkiem, dręczył się tak nie umiejąc powrócić do strychniny, ani obmyśleć nic innego — zimna, znudzona, obojętna Winnicka. która nie dawała poznać po sobie, ażeby ją co wiele mogło obchodzić — w istocie gorąco była losem tego człowieka zajęta, który się jej tak szczerze wyspowiadał.

Trafił do niej na taką jakąś chwilę szczęśliwą — znużenia życiem opróżnionem, niezajętem, bez celu, że się w niej jeśli nie serce, to nerwy poruszyły.

Nie miała nic do czynienia. Aureli nie wzbudzał w niej wprawdzie szczególnej sympatji. ale

też nie miała do niego wstrętu. a był dla niej — zagadką.

Starała się zebrać o nim wiadomości, próbowała go, nawet w tak barbarzyński sposób, jakim było zbliżenie do panny Klotyldy. Nie miała najmniejszej nadziei, czy się z Klocią mógł ożenić, ale chciała wiedzieć, że do tego stopnia nie upadł... Zrozumiała, że był oburzony... Tem lepiej.

Śledząc stosunki p. Aurelego dowiedziała się, przypomniała że coś słyszała o pannie Salomei — posłała ją prosić do siebie.

Stara sługa Żabców, dziś rodzaj pokutnicy, dumnej swą pokutą i niby męczeństwem jakiemś, przesadzoną powagą, dawanemi sobie tonami — trochę śmieszna, — stawiła się na wezwanie. Pochlebiało jej ono.

— Wiem żeś waćpanna była długo w domu Żabców — odezwała się przy powitaniu. — Ja tu poznałam p. Aurelego, jest to ciekawy dla mnie człowiek... Nie mogłabym się ja od panny o nim co dowiedzieć?

— Ja się wychowywałam z nim razem, w domu ich — odparła Salomea — matka jego była dla mnie też jakby rodzoną,.. P. Aurelego nikt lepiej nie zna... Prawda, żem go od niejakiego czasu z oczów straciła, ale się bynajmniej nie odmienił.

Winnicka wskazała jej miejsce. sama usiadła i poczęła słuchać. rzucając pytania.

Salusia życzyła dobrze p. Aurelemu, to nie ulegało wątpliwości, lecz zarazem miała i inne pobudki do zajęcia się nim w stosunku do Winnickiej. Chciała przed nią okazać ile miała rozumu, charakteru, taktu, — a nuż by stara jejmość uznała potem właściwem wziąć ją do siebie? Plan był osnuty — gotową była pod sekretem, opowiedzieć nawet o truciznie i rewolwerze.

Obie kobiety badały się dosyć ciekawie. Zaproszona Salusia opowiadała z pewnym pathosem i powagą.

— Ojca i syna Żabców — ciągnęła dalej — znam, mogę powiedzieć, od póki żyję... Oba nadzwyczaj charakterami do siebie podobni. Trudno to określić... jacy są ludzie... Źli nie są, ale ich Bóg do pracy nie stworzył... tylko do używania — z tego cała bieda. Nieboszczyk pan Wawrzyniec przez całe życie pokutował za to, że się zuchwale porwał i naraził państwu Czarnogrodzkim i żonę nieszczęśliwą uczynił. Teraz syn jeszcze pokutuje za grzech ojca...

Nie ma wyjścia już... wszystko się to źle i smutnie skończyć musi. Gdyby mnie pani dobrodziejka nie zdradziła... powiedziałabym do czego już desperacja p. Aurelego doprowadziła...

Za całą odpowiedź, Winnicka poruszyła ramionami. Panna Salomea z pewną dumą uśmiechnęła się. Krótko mówiąc — dodała ciszej — pan Bóg mnie uczynił narzędziem swojem i dozwolił, że niedawno życie ocaliłam p. Aurelemu.

Tak — życie — powtórzyła z naciskiem.

Pani Winnicka spojrzała na nią, posądzając o przesadę i chętkę pochwalenia się — skrzywiła się nieznacznie ale słuchała rozwiązania.

— Przez bardzo długi czas — ciągnęła dalej, pewna siebie Salusia — nie widywałam p. Aurelego, chociaż, po moich nieszczęściach (westchnęła) jak rozbitek od lat kilku już tu na brzeg jestem wyrzucona... Nie chciałam się narzucać mu... ale w końcu pomyślałam, już-ci godzi się pójść zobaczyć co się tam z nim dzieje. Jakby mnie co tknęło.... a był to istotnie — palec Boży! Więc zwróciłam się na tę ulicę Mokotowską. Dzwonię, a było to nad wieczór — raz, drugi, trzeci, żadnego znaku życia, drzwi się nie otwierają. Jużem miała odejść, gdy usłyszałam kroki, ukazuje się — sam pan Aureli... ale tak zmięszany — że mnie nawet zrazu nie poznał, choć wszyscy to przyznają i ja sama to widzę, że się wcale nie zmieniłam, pomimo tego wszystkiego czem mnie Bóg dotknął i com wycierpiała...

Wchodzę... Uderzyło mnie na pierwsze wejrzenie to, że w mieszkaniu nieład był największy, wszystko poprzewracane... a on — jakby pochwycony na uczynku...

Z początku nie mogłam zrozumieć — co to jest?

Widząc w tem coś podejrzanego, wcisnęłam się za nim do sypialni... do której mi drogę chciał zaprzeć...

Co się okazało? Przy łóżku stała przygotowana flaszeczka z trucizną i rewolwer.

Winnicka drgnęła.

— Czy się waćpannie nie przywidziało? — szepnęła.

— Nie — bo się tego nie zapierał nawet... a ja mu skonfiskowałam flaszeczkę i zabrałam rewolwer... Przyznał mi się, że chciał sobie życie odebrać, bo nie widział już wyjścia. W kominie była cała kupa popiołu z popalonych papierów...

Z tego tematu dalej poczęła panna Salomea rozwodzić się nad charakterem Żabców, ich losami, przeznaczeniem itd. Ona — jak powiadała — była tego przekonania, że ożenienie z kobietą energiczną, jedynie mogło ocalić pana Aurelego.

Winnicka słuchając, więcej na fakty niż na wnioski dawała baczności, nie mówiąc nic, ani się sprzeciwiając wywodom p. Salomei. Określała ona dosyć trafnie, iż miał nieszczęśliwy młodzieniec talentów i zdolności wiele. ale wytrwałości ani za grosz.

Ze wszystkiego wynikało to jedno, że gwałtownie potrzebował ratunku, i że stał na kraju przepaści, a ani on sam wiedział jak się ratować ani łatwo było określić innym, co z nim począć mieli, życząc mu ocalenia.

Dawszy się obszernie wygadać pannie Salomei która zresztą w osobistych interesach i finansowem położeniu tyle tylko wiedziała co

po Rzepskim miarkować mogła — pani Winnicka podziękowała jej, ale się nie zdradziła z żadną myślą. Wzdychając tylko odezwała się przy pożegnaniu:

— Życzę dobrze p. Aurelemu — ale w istocie, jak waćpanna sama widzisz, trudne to zadanie na takie zadawnione złe coś poradzić — to jak choroba zaniędbana...

Niewiem czy gdyby mu dziś z niebios spadły dostatki, umiałby ich użyć... Gdyby go do jakiej pracy zaprządz... ale — do jakiej?

Panna Salomea ruszyła ramionami.

— Pani dobrodziejka bardzo to trafnie określa... on do niczego dziś nie zdolny, oprócz kart — a wypić i zjeść — i pośmiać się... i w salonie rozmowę utrzymać.

— Na wsi nigdy nie gospodarował — dodała Winnicka...

— A na czemże miał się zająć... kiedy nic nie było... — dorzuciła panna Salomea. — Po śmierci ojca, mógł wziąć dzierżawę, coś się tam zebrało resztek... ale wolał wylecieć za granicę i tam strwonił podobno wszystko. Powrócił, powiadano jakby z krzyża zdjęty. Chodziły wieści, że się zakochał ale ja nie wiem w kim, że panna była bardzo bogata i znakomitego rodu — ale zawczasu postrzeżono romans i drzwi mu zamknięto.

— Któż to był? — spytała przytrzymując już w progu stojącą Salomeę.

— Trudno wiedzieć. sznurując usta — odparła informatorka...

Winnicka pożegnała ją raz jeszcze dziękując i prosząc, jeżeliby coś więcej się dowiedziała o p. Aurelim, aby jej udzieliła...

— Ja dla niego nic zrobić nie mogę — dokończyła wyraziście — ale przez stosunki w świecie, możeby mu pomódz się udało, znaleść może jakie zajęcie, gdyby nie był zbyt wymagającym.

Odwróciła się już wychodząca p. Salomea.

— On! nie wymagającym! ale jemu wszystkiego mało — choć nie ma nic...

Wieczór u Barszewskiego był jakby powrotem do dawniejszego trybu życia. P. Aureli dał się pociągnąć. Wprawdzie do siebie nie zapraszał, bo kredytu już nie miał, ale biernie się poddawał wpływowi tak zwanych przyjaciół. Jednego wieczora z tą obojętnością rozpaczliwą, która mu znowu strychninę poddawała jako epilog w ostatku, z kilką rublami w kieszeni siadł grać... Wygrywał, umiał korzystać z szansy, ożywił się i nadzwyczaj szczęśliwie zdobywszy kilkaset rubli, z niemi wszedł spokojny na drogę porzuconą, mówiąc sobie:

— Co mi tam! Na strychninę czas zawsze...

Twarz mu się wyjaśniła, powierzchownie był to niby dawny ów p. Aureli, dobry i wesoły koleżka, lecz w istocie czuł w sobie, że innym był.

Nie przeżywa się takiego przesilenia, jakie on przetrwał — nie doznając jego skutków... Miał

pewien rodzaj pogardy dla siebie samego i swej nieudolności.

Chwytał się momentami na rozmyślaniach o tem — czyby się nie znalazło jakie przyzwoite zatrudnienie, mogące jakąś przyszłość zapewnić? Mówił sobie: Nie święci garnki lepią! Mnóstwo głupszych ludzi i mniej umiejących odemnie coś robią, dlaczegobym ja nie mógł.

Ale tu — w zastósowaniu zasady była niesłychana trudność wykonania.

Wszystko dla niego — dla niego, co w salonach zajmował na pozór niezależne stanowisko swobodnego człowieka — wydawało się małem i lichem. Jakże to było z tych wysokości eleganckiego próżniactwa znijść od razu na podół rzeczywistości??

Wśród niedołężnych tych rozmyślań, p. Aureli, który nigdy z oczów nie stracił owej Eleonory — choć od lat wielu się do niej nie zbliżał wcale — dowiedział się, iż mąż jej zagrożony był chorobą nieuleczoną, na którą — mówiono — dogorywał.

W świecie od dawna się nie pokazywał.... Wiedział p. Aureli, że był wyżyty i znużony życiem w młodości bardzo bujnem, z którego resztkami już tylko przystąpił do ołtarza.

Pani hrabina Eleonora, miała tylko jedną córeczkę.... I ona w świecie pokazywała się rzadko. Miano ich za bardzo majętnych, lecz zaplątanych w interesa.... Domyślano się, iż żeniąc się hrabia, rachował na majątek żony, a matka jej na dostatk.

jego. Z obu stron zaszła omyłka, której nie dać poznać, starano się, ale ukryć ją było bardzo trudno....

Zawsze piękna, smutna, milcząca, wyglądająca na ofiarę, hrabina Eleonora była dotąd, pod surową opieką żyjącej jeszcze matki... kobiety despotycznej i nie lubionej.

Pochwycona wiadomość o chorobie męża hrabiny Eleonory, w jakąś gorączkę wprawiła chwilowo p. Aurelego, ale była ona bardzo krótkotrwałą. — Starczyło małego zastanowienia się nad położeniem, aby zapobiedz śmiesznym marzeniom....

Sam p. Aureli ostygnąwszy, osądził surowo dziecinne uniesienie, jakąś nadzieję bez najmniejszej podstawy. Hrabina mogła być stokroć swobodną, nie zbliżało ją to do Żabca.... Na straży stała matka, a gdyby i tej nie było — przestrzeń dzieląca go od niej była nie do przebycia....

Jednej niedzieli p. Aureli zaniedbał Winnickę. W poniedziałek odebrał bilecik z wymówką i przypomnieniem obowiązku, a we czwartek służący przyszedł ustnie go wezwać na chwileczkę do pani....

Co mogła mieć za interes? nie pojmował.

Gdy wszedł, Winnicka wstała z kanapy.

— Proszę cię tylko — rzekła — nie gniewaj się na mnie i nie tłómacz fałszywie tego, co ci zaproponuję. Dlatego, że znowu panna Klotylda będzie na placu.

Rozśmiała się widząc że się zmarszczył.

— Jest to kobieta praktyczna i rozumna — dodała Winnicka — z pewnością daleko od pana Aurelego praktyczniejsza, ale jako kobieta często nie może sama wystąpić...

Idzie o to, że ma nieprzyjemne rachunki z rządcą. który jak się okazuje, bardzo zręcznie przez lat wiele ją okradał.

Cóż to trudnego ścisłe rachunki sprawdzić, surowo skontrolować... i — jako uproszony pośrednik skończyć je?

Niezmiernie skłopotany stał i niemal oburzony p. Aureli.

— Może być, że to nie jest rzecz trudna — rzekł — ale ja nie mam doświadczenia. a powtóre, jakimże tytułem...

— Uproszonego przyjaciela — wtrąciła Winnicka — ale ponieważ to i czasu zabierze dosyć i może być pracą nudną, rzecz sprawiedliwa, ażeby cię indemnizowała ?!

Żabiec się rzucił z takiem pańskiem, arystokratycznem jakiemś oburzeniem — iż Winnicka aż się zarumieniła...

Chciał już wybuchnąć, gdy z chłodną krwią, położywszy mu rękę na ramieniu, słowa mówić nie dała.

— Czekaj — rzekła — wiem już co chcesz powiedzieć... ale — skarżyłeś się sam przedemną na brak zajęcia, mówiłeś, że szukasz drogi nowej, ja ci nastręczam uczciwą, godności twej wcale nie uwłaczającą, odrzucasz ją z oburzeniem człowieka

który uważa za coś uwłaczającego sobie — pracę.·.
i wynagrodzenie za nią.

Jakimże sposobem wyrwać się można z przykrego położenia, na które się użalasz. . Daleko więcej uwłaczającem byłoby obdarzenie cię, ożenienie dla pieniędzy...

Aureli stał z głową spuszczoną.

— Pani masz najzupełniejszą słuszność — odezwał się — ale proszę wejść w moje — powiedzmy — zepsucie, znałogowanie... a w dodatku idzie o pannę Klotyldę. Nieochybnie ludzie wyciągną ztąd wniosek, że — ja się gotowem ożenić.

Winnicka przeszła się po pokoju zamyślona.

— Więc gdyby nie szło o Klotyldę, ale o kogo innego? — spytała.

Żabiec stał zarumieniony i skłopotany niezmiernie. Tarł czoło gwałtownie.

— Niech pani wejdzie w to, że reforma radykalna życia, pojęć... — dodał jąkając się — nie jest rzeczą łatwą.

— Ale ją kiedyś i od czegoś począć potrzeba — odparła Winnicka.

Pomyślała trochę i dodała.

— Nikt wiedzieć nie potrzebuje, że waćpan podjąłeś się tego obowiązku, zostanie to między nami. Jedź waćpan, radzę i proszę, miej męztwo. Obawiać się gadania i sądów ludzi, gdy się w sumieniu czuje czystym — dziecińństwo...

Przyparty tak surowo, Żabiec nie znalazł już innego środka, jak prosić o czas do namysłu...

— To znaczy grzeczne odrzucenie — szepnęła Winnicka.

Żabiec zawstydził się tego, że słabym się okazał, wziął na kieł i począł się bronić, rozpoczęli długą rozprawę teoretyczną o obowiązkach i o pracy, o reformie życia. P. Aureli w zasadach się zgadzał z gospodynią ale ustępstw wymagał w praktyce. Rozmowa nie pozostała bez skutku — miłość własna podrażniona z innej strony, zapragnęła dowieść, że na energji nie zbywało.

Pan Aureli gotów był coś... poświęcić, tylko wejść w służbę panny Klotyldy, wydawało mu się tak śmiesznem, widział już i słyszał jakieby to wywołało szyderstwo.

Winnicka uparcie go drażniąc, nie spuszczała z oka, zdawała się chcieć czytać jego myśli. Do pewnego naostatek terminu doprowadziwszy to dokuczliwe nawracanie, uśmiechnęła się.

— No, masz waćpan słuszność, od popsutych ludzi od razu za wiele wymagać nie można... aleś mi przy pierwszem spotkaniu wydał się tak skruszonym!! Wiesz co, zatem nie w interesie panny Klotyldy pojedziesz dla obrachunków, ale w moim. Zobaczemy jak się to uda. Ja jestem coraz niedołężniejszą, nudzą mnie drobnostki, mam prawo się wyręczyć kimś, bom stara. Jedź waćpan na Podole dla uregulowania interesów wedle mojej instrukcji.

Bez rozmysłu Aureli podniósł się żywo — i zawołał.

— Jestem na rozkazy pani.

Oczy mu zaświeciły, pani Winnicka mówiła dalej.

— Proszę sobie nie pochlebiać aby się to tam prędko i łatwo mogło skończyć, bo trzeba obrachunki sprawdzać, inwentarze nowe spisać i zapewne majątek dzierżawą puścić, jeżeli się znajdzie człowiek, któremuby zaufać można... Życzyłabym zatem abyś waćpan mieszkanie swoje warszawskie odnajął... Stać będzie napróżno... Ale o tem pomówiemy jutro...

Podała mu rękę i pożegnała go.

Pan Aureli podziękowawszy za zaufanie wyszedł upojony — krok ten Winnickiej świetnym nadziejom otwierał wrota.

Według niego jawnem było już, że ciotka uważała go za swego spadkobiercę i wypróbować tylko chciała, a przekonać się czy to, co otrzyma, potrafi utrzymać.

Zakręciło mu się w głowie, chociaż ze sposobu postępowania Winnickiej powinien był wnieść. że z nią nie pójdzie łatwo, i że męczyć go będzie wymaganiami. Ale gotów był na wszystko zyskując życia podstawę, przyszłość jakąś, stanowisko...

Niepomiernie wesół, z rozjaśnioną twarzą pieszo się puścił do domu... Uderzający musiał przybrać wyraz, gdyż Barszewski, który go spotkał, wpadł na niego z gorącym uściskiem i powinszowaniem.

— Chwała Bogu, a to widzę przyszedłeś do siebie i znowu jesteś naszym starym, poczciwym

Aurelkiem, jużeśmy po tobie Requiem śpiewać mieli, tak chodziłeś przez czas jakiś nachmurzony i kwaśny.

Zatrzymał go.

— Czekaj, musimy z tego twojego usposobienia korzystać, chodź do mnie, kilka osób się spodziewam na djabełka...

Żabcowi zdawało się, że w tej chwili kuszący go djabeł, nie był w miejscu, gdy właśnie potrzeba było się rozmyśleć poważniej i gotować do reformy życia — ale zarazem pomyślał sobie, że pedantem być nie należało, i że raz jeden zagrać i zabawić się nie ciągnęło za sobą żadnych następstw.

Chciał się wymawiać, Barszewski go chwycił pod rękę i nie puszczał.

— Dajże pokój — ani słowa, chodź... Będzie u mnie Wołyniak, ziemlak, pułkowik D. i marszałek Z., oba dobrzy do wybitej i wypitej, ludzie naszego obozu... Zabawimy się doskonale... Do gry nadto grubej nie dopuszczę, choć oni zwykli są do niej...

Choć nie zupełnie rad temu zwrotowi, Żabiec dał się pociągnąć. Coś go w sumieniu łaskotało — ale przemógł się. Raz jeden! co u licha!!

Wszedł więc z gospodarzem do niego wnosząc tu swój dobry humor.

Widok przygotowań do wieczerzy, butelek, łakoci, stolików do gry itp., obudzając wspomnienia... zrodził jakieś tęskne uczucie w nim, żal po

tych orgjach młodości. Teraz począć się miało życie serjo, smutne, nudne, oszczędne, bez promyka jaśniejszego... *terre a terre*! Westchnął tajemnie.

Perspektywa grzebania się w papierach, w rachunkach, kłócenia, zagadzania sporów, łamania głowy nad kwestjami, których on nie bardzo rozumiał — nie wydawała mu się wesołą.

— Do licha — rzekł w duchu — gdyby panna Klotylda nie była tak starą i śmieszną — najprostszą byłoby rzeczą ożenić się psu oczy sprzedawszy i — prowadzić życie spokojne jak u Boga za piecem.

Te smutne uwagi przerwał Barszewski żądając rad co do wieczerzy... wina, porządku podawania potraw — bo w tych rzeczach Aureli stanowił powagę.

Goście się powoli schodzić zaczynali, a Żabiec zaprezentowany, ze stanowczością dawnych dni gospodarował już i komenderował. Humor mu wrócił wyśmienity.

Stworzono natychmiast djabełka, gdyż właściwie on był celem tego wieczornego zebrania. Żabiec zrazu odmówił — w istocie nie miał tyle pieniędzy aby módz zasiąść z graczami tego kalibru...

Barszewski mu się do ucha nachylił.

— Niemasz pewnie przy sobie pieniędzy, bom cię na drodze pochwycił. Chcesz jakie dwadzieścia półimperjałów to ci służę...

Żabiec się zawahał, ale pokusa była zbyt wielka... Cóżby szkodziło wygrać. a w grze zwykle miewał szczęście. Nie odpowiedział nic, a gospodarz zrozumiawszy to, przyniósł mu rulonik i wetknął nieznacznie...

Ani pułkownika, ani marszałka nie znał Żabiec wcale, oba ludzie bardzo bogaci, nawykli byli do gry ogromnej. Nie wydawało się niczem nadzwyczajnem widywać tych panów wygrywających lub przegrywających dosyć obojętnie po kilkanaście tysięcy rubli...

Na tę skalę grywano w Dubnie czasu kontraktów.

Barszewski, chociaż z obawą, ale dotrzymywał im nieraz placu. Dnia tego nie zdawało się zanosić na nic tak zamaszystego, chociaż gra poczęła się od stawki już wcale przyzwoitej.

Żabiec choćby ostatni grosz przegrywał, nigdy tego, co się zowie kontenansem, nie tracił. Podrażnienie po nim poznać tylko było można z tego, że wesołością przesadzał.

Pierwsze początki poszły nie czyniąc wielkiej różnicy... Żabiec trochę przegrał... — ale zaraz w następnych taljach szczęście mu szalenie służyć zaczęło, a miał ten dobry system, że z niego korzystał śmiało...

Po obrachunku wygrana jego okazała się znacząca...

Nie podobna było poprzestać grać... ani nawet pomyśleć o tem mógł wygrywający

Pułkownik zwykle szczęśliwy, dziś mocno nadszarpnięty, niecierpliwił się. Nie szło mu o pieniądze, ale nie lubił gdy mu prawiono kondolencje, albo grę jego krytykowano...

Zawzięto się więc goręcej daleko. Marszałek, gadatliwy, palił się, paplał i jątrzył pułkownika. Aureli z krwią zimną placu dotrzymywał. Umiejętna gra, temperament szczęśliwy, zresztą karta sprzyjająca mu cudownie, uczyniły go królem dnia tego. Zabrane z kolei pule stanowiły już kilkaset imperjałów przed wieczerzą.

Humory gości trochę sposępniały, Żabiec nie okazywał też wesołości z tryumfu swego, a gotów był do wszelkich ustępstw z taką uprzejmością, iż mu nic zarzucić nie było podobna.

Doskonałe wina przy wieczerzy nieco gości orzeźwiły, pułkownik posłał po pieniądze do domu. Zabierano się ciągnąć dalej, a Żabiec się cofnąć nie mógł.

Wygrana była znaczna, ale z wielu względów ambarasującą przez toż samo. Przyzwoitość wymagała, gdyby się przy niej utrzymał p. Aureli, zaprosić nazajutrz do siebie i okazać choćby gotowość dania odwetu.

Pocieszał się tem, że po wieczerzy mogła zmienić się szansa. Jakoż pułkownik miejsce sobie wybrał inne, utrzymując że siedział pod belką, a Żabcowi dostało się owe nieszczęśliwe.

Zaczęto grać wesoło. O wysokość stawek nie podobna było się sprzeczać, bo Aureli wygrywał

a zatem obowiązany był do ustępstw. Pułkownikowi tak pilno było się odbić, że podniósł zaraz kusze.

Ale napisanem było, że tego wieczora solenizantem zostanie Żabiec. Siedział pod belką, grał jak chciano i wygrywał przeciwko wszelkim prawdopodobieństwom. Wstyd mu było, gdyż w istocie suma zdobyta urosła do niezwykłej wysokości.

Sam nareszcie pułkownik postrzegł, że tego dnia nie przemoże szczęścia i karty rzucił. — Kwaśno wszyscy wstali od stolika, zrażeni, bardzo późno.

Pułkownik chciał nazajutrz prosić do siebie, gdy p. Aureli z wielką uprzejmością upomniał się o prawo dania odwetu — na Mokotowskiej ulicy, zapraszając na skromną wieczerzę.

Poszkodowani przyjęli... i wszyscy się rozeszli. Z przybliżonego rachunku, Żabiec wychodząc wiedział, że miał około półtora tysiąca imperjałów wygranych. Tak liczył, chociaż w istocie było więcej...

Suma ta, jakiej od dawna, od niepamiętnych czasów nie posiadał nigdy Żabiec, wprawiła go w rodzaj gorączki. Można się było obawiać, że zachwieje wszystkiemi dobremi myślami reformy w pracy i posłuszeństwa Winnickiej...

Ciągnęła ona też za sobą hulankę kosztowną dnia następnego — i nieobrachowane różne inne wynikłości smutne...

Żabiec nie krył przed sobą, iż znajdował się w położeniu nader drażliwem. Znał swą słabość!

Miał pieniądze, mógł pilniejsze opłacić długi i czekać na jakieś zmiłowanie losu, nie zmieniając trybu życia — i uwalniając się od Winnickiej, która go dręczyła. Na krótki moment wywołało to w jego duszy zgryzotę, żal po zmarnowanej młodości, przyznanie się do grzechu, ale wysiłęk ten już go znużył, nałóg powracał i opanowywał...

Zaledwie doszedłszy do sypialnego pokoju, rozebrawszy się i pospiesznie odprawiwszy Rzepskiego, któremu na prędce polecił przygotowania do jutrzejszego wieczora, co starego zdumiało i przestraszyło... zamknął się Żabiec, aby obliczyć tę bajeczną swą wygranę. W miarę jak dobywał asygnaty, wyładowywał kieszenie obciążone rulonami półimperjałów, lice mu się ożywiało, a wszystkie dobre postanowienia szły w kąt..

Nie do wiary!! zamiast półtora tysiąca, doliczył się niespełna dwóch tysięcy pół-imperjałów, których widok go zupełnie upoił — w głowie mu się zawracało. Z tą sumą mógł żyć bardzo długo, nie potrzebując się uciekać ani do Winnickiej... ani do strychniny... Oba te lekarstwa stały u niego na równi prawie.

Szczęściem ciotka dała mu czas do namysłu, a raczej... nie przypominał już sobie, że się względem niej stanowczo zobowiązał...

Los okazywał się łaskawszym...

Przyszło mu przelotnie na myśl, iż mógł zarówno z pieniędzy tych wziąć dzierżawę i samoistnie też pracować dla przyszłości — ale praca!! tak mu była wstrętną... Do niej już się czuł starym.

W rachubę nie wciągnął tego, że, zobowiązawszy się do odwetu, mógł nazajutrz przegrać wszystko, tem łatwiej, iż panowie przegrani rozporządzali większemi pieniądzmi i mogli je śmielej ważyć...

Nie przypuszczał przegranej.

Gdy, odprawiwszy Rzepskiego, sam tak swobodnie sprawdzał rachunek gry wieczornej, stary sługa mocno przez dziurkę od klucza go szpiegował, zobaczył pieniądze... i przestraszył się...

Wolał on by był widzieć panicza na innej drodze, a znał go nadto, ażeby się nie domyślić, iż, mając pieniądze — musi ich używać, a wszystkie piękne projekty rzuci w kąt...

Rzepski postanowił natychmiast dać o tem znać pannie Salomei, w którą wierzył teraz... Trzeba było ratować go.

Noc przeszła w marzeniach niespokojnych, następny dzień na przygotowaniach do przyjęcia u siebie.

Żabcowi szło o to, aby między wystawnym wieczorem Barszewskiego a jego kolacją poważną, pańską, nie rozrzutnie ale umiejętnie obmyślaną — nowi goście uczuli różnicę.

Żałować na to ani mógł, ani myślał. Sam pojechał do miasta i cały niemal dzień strawił na przygotowaniach...

Dobrze przed godziną naznaczoną był już w domu, i wszystko miał, czego żądał.

Zaproszeni stawili się na herbatę, nie zbyt wesołe przynosząc twarze, a ciekawe wejrzenia... bo Żabiec był dla nich jeszcze zagadką. Posądzali, że mieli do czynienia z awanturnikiem, choć w mieście nic złego się o nim nie dowiedzieli.

Zimne było dosyć przywitanie, tylko Barszewski śmiał się i krzyczał głośno...

Wrażenie jakie dom p. Aurelego uczynił na gościach — nieco rozjaśniło oblicza...

Nie tracąc czasu, Barszewski do kart napędzał...

Żabiec z bardzo chłodną krwią, służył — jak żądano — na wszelkie warunki i stawki się zgadzając... chociaż nie bez trwogi wewnętrznej.

Obawa na ten raz była próżna.

Przegrani wczoraj, przyszli z gorączką odwetu — która na złe im wyszła.

Szczęście — jakie miał wczoraj p. Aureli, towarzyszyło mu dnia tego również — tak stale, iż go niemal w kłopot wprawiało. Ustępował i godził się na co tylko żądano — a pomimo to — wygrywał i wygrywał ciągle...

Wieczerzę za to mieli goście wykwintną i z całą znajomością rzeczy przygotowaną, tak, że marszałek, który był smakoszem wielkim — prawie ze zdumienia nad nią o przegranej swej zapomniał.

Pułkownik, zrażony tem, że mu nie szło, stracił ochotę do odegrywania się i oświadczył, że

tylko już aby dotrzymać placu grać będzie. ale z szansą stale sobie przeciwną walczyć nie myśli.

Po wieczerzy więc — gra znacznie ochłódła. Żabiec był dnia tego wygrany tak wiele, iż oprócz wieczerzy opłaconej, miał jeszcze kilkaset rubli do połączenia z wczorajszemi.

Goście nie zabawili przy Mokotowskiej tak długo, byli znużeni — a gospodarz nakarmiwszy ich i napoiwszy tem co tylko najdroższego i najlepszego mógł znaleźć — pożegnał się z nimi — bardzo rad z siebie i nich... i z błogosławieństwa losu. Szło teraz już mu tylko o wyswobodzenie się od opieki i wymagań pani Winnickiej.

Zadanie to nie było tak łatwem jak je sobie wyobrażał Żabiec.

Zbliżyć się do zobojętniałej i znudzonej życiem i ludźmi było równie trudno, jak pozbyć się jej gdy raz przedsięwzięła ratować... Życie dla biednej kobiety było całem pasmem zawodów i przykrości, na ostatek została sierotą — a ten siostrzeniec dla niej był przynajmniej chwilowo jakiemś zajęciem nowem i wnosił w jej dni smutne akowąś dystrakcyę.

Wyszedłszy za mąż za człowieka, który ją zaślubił dla pieniędzy, najnieszczęśliwsza w pożyciu z nim, potem zmęczona chorowitemi dziećmi. które się jej niewdzięcznością wypłaciły za poświęcenie, naostatek i te straciwszy, z rozpaczy niemal przeszedłszy w rodaj zdrętwienia. znaczną część majątku straciwszy, Winnicka w tej chwili. gdy

się jej nastręczył ów siostrzeniec była tak znękaną już, że rada była choćby roztargnieniu i zagadce jaką z sobą przynosił.

Los jego mocno ją obchodził; chociaż przewidywała, że i w tem powodzenia mieć nie będzie — chciała przynajmniej spróbować. Pozbyć się więc ciotki Winnickiej nie mógł lada czem p. Aureli.

Z drugiej strony, gdy go raz w opiekę wzięła panna Salomea, której pochlebiało to, że ją wezwała do narady i współdziałania pani Winnicka— wyrwać się jej — także nie lada było zadaniem. Tego wszystkiego nie przewidywał Żabiec...

Panna Salomea była w ruchu i niespokojna. Rzepski całkiem przez nią zdobyty gotów stał na wszelkie usługi w przekonaniu, że tym sposobem uratuje panicza...

Podpatrzywszy pieniądze znaczne u pana i zaraz potem widząc je zużytkowane na wydanie wieczoru i na grę, Rzepski nie miał nic pilniejszego nazajutrz nad wycieczkę do panny Salomei z doniesieniem. Wpadł do niej przestraszony...

— Pannunciu — zawołał od progu — co nowego przynoszę. Nie wiem sam złe czy dobre... Licho go wie zkąd wziął, ale ma znowu pieniądze to grube, bardzo grube, a wczoraj już dawał wieczerzę, która mało stokilkadziesiąt rubli kosztowała... i grali... Jacyś panowie majętni widać, nieznajomi... Stawili grubo. Złoto się toczyło po stolikach aż strach...

— Zgrał się — załamując ręce przerwała Salusia.

— Ale ba! gdyby się zgrał, toby było lepiej — rzekł Rzepski — wygrał. Teraz ja go znam: dopóki w kabzie będzie grosz, nic z nim zrobić nikt nie potrafi.

Rozpytawszy o szczegóły, dowiedziawszy się od Rzepskiego co tylko z niego mogła wyciągnąć, Salusia natychmiast zarzuciła chustkę czarną i poleciała do Winnickiej.

Ta właśnie trzeci dzień już napróżno oczekiwała przyjścia Żabca i nie mogła pojąć, dlaczego milczał. Zaczynała się gniewać.

Niezmiernie poruszona, rozgorączkowana Salusia wpadła w samą porę.

— A, pani dobrodziejko — zawołała zdyszana. — źle z tym nieszczęśliwym...

— Co mu się stało?

— Nie wiadomo zkąd dostał pieniędzy i to podobno sporo... już znowu wieczorek dawał i w karty grali.

— Zgrał się — podchwyciła Winnicka.

— Nie. Rzepski mówi, że wygrał.

Winnickiej tłumaczyło to, dlaczego nie przychodził. Skrzywiła się, ale dla niej walka z panem Aurelim — nie miała jeszcze w sobie nic groźnego. — Była do niej przygotowaną.

Ze zbytecznem bogactwem szczegółów panna Salomea, poczęła zaraz opowiadać o wieczorze, o tych co na nim byli, obliczać według domysłów

Rzepskiego, ile pieniędzy mógł mieć Aureli i t. p.

Winnicka słuchała zażywając tabakę, zamyślona i odprawiła wreszcie Salusię dosyć chłodnem „Bóg zapłać.“

Postanowiła czekać i zbytniem naleganiem ani pośpiechem nic nie zdradzać. Wolała, ażeby Aureli sam się rozmyślił i wrócił do niej, a nie żeby ona go ciągnąć miała. Nie wyrzekała się zajęcia nim, ale chciała działać powoli i nie zbyt okazując się gorliwą.

— Będzie myślał, że ja mam serce ciotki dla niego, a tego ja nie chcę.

Przed znajomemi swemi paniami, które ją widywały wprzód zastygłą, a teraz wiedziały, że się zajmowała Żabcem — nie taiła się z tą zabawką nową i sama z siebie się śmiała.

Między innemi w świecie staremi znajomościami Winnickiej, była i matka hrabiny Eleonory. Kobieta, której despotyczny temperament, usposobienia do wojny, niespokojny charakter zbliżały ją do Winnickiej, choć w inny sposób, ale również kwaśnej i niespokojnej.

Przypadkiem zeszły się teraz dnia jednego. Winnicka pod wrażeniem swych zabiegów dla ratowania Aurelego, poczęła się skarzyć i opowiadać o nim, matce hrabinej.

Zaledwie nazwisko Żabca wymówiła Winnicka, gdy twarz starej przyjaciółki okrutnie się zmarszczyła.

— Kto? kto? Żabiec? to wasz siostrzeniec? Żabiec? Jak mu imię?

— Aureli.

— Ah! — tajemniczo przebąknęła przyjaciółka — znam ja go; oho! to ptaszek!

— A wy go zkąd znacie? — zapytała Winnicka mocno zaintrygowana.

— Lepiej nie pytać, bez gniewu imienia jego przypomnieć sobie nie mogę, choć to bardzo stare dzieje.

Chciała zamilczeć o nich hrabina, ale Winnicka nie ustępowała. Z natrętnością nadzwyczajną męczyła ją póty, dopóki się nie dowiedziała o wszystkiem.

— Bałamucił mi Eleonorę, która się w nim na serjo kochała — mówiła hrabina w końcu do wyznań zmuszona. — Miałam niesłychaną z nim mękę i sądzę, że gdybym się była energicznie do jegomości nie wzięła, byłby ją tak mi wykradł, jak ojciec jego waszą siostrę.

Nie mogę za to ręczyć, że Eleonora do tej pory jeszcze ma dla niego słabość, choć pilnowałam, ażeby ani korespondencyj, ani żadnych spotkań nie mieli.

Hrabina z gniewem o tem mówiła.

— Prawda, żeśmy się zawiedli na mężu Eleonory, która jest najnieszczęśliwsza z nim — ciągnęła dalej. — Żenił się bankrut dla posagu, udając bogatego, oszukując nas, ale Eleonorka młoda jeszcze, a on suchotnik...

O p. Aurelim hrabina wyrażała się dotąd z gniewem i oburzeniem. Nie mogła mu tego darować, że pozyskał serce córki...

Winnicka wydobywszy z niej co tylko mogła, pożegnała ją, myśląc już jaki z tej zdobyczy uczyni użytek...

Mąż Eleonory był suchotnik! zanotowała to sobie z uśmiechem.

Wizyta panny Salomei, przypadkowe zetknięcie się z matką hrabiny Eleonory, starą Winnicke na nowo rozruszały... zachęciły do dalszych eksperymentów z siostrzeńcem.

Zdawało się jej, iż się wszystko tak składało, jakby w pomoc do ratowania go: — nie miała nic do czynienia — mogła sobie pozwolić tej niewinnej rozrywki.

Powróciwszy do siebie rozmyślała długo, czy posłać po Aurelego, czy czekać. .

Wprawdzie i posłanie było wytłumaczonem nie jego interesem, ale jej interesami, do których go użyć miała — ale wolała, aby on sam się zgłosił...

Była teraz zbrojną, wiedziała wiele, mogła z nim walczyć — i spodziewała się go zwyciężyć.

Ale p. Aureli nie przychodził...

Wybierał się i zwlekał... Raz się zaprzągłszy na usługi ciotki, trzeba było mieszkanie odnająć, wyjechać na kilka miesięcy i rozpocząć życie nowe, nudzić się i — ostatecznie czy się to mogło opłacić ?? rzecz była nader wątpliwa.

Więc — choćby się wytłumaczyć przed ciotką wypadało... czy ją całkiem porzucić ?!

Sam nie wiedział co począć? Po opłaceniu długów pilnych, zawszeby mu było pozostało kilka

tysięcy rubli jeszcze... z tem mógł czekać... Czego? Sam nie wiedział...

Nigdy jeszcze w życiu nie znajdował się w położeniu podobnem, na takiem rozdrożu... Lenistwo i rozpuszczenie od dzieciństwa, czyniły go... słabym...

Zaczynało się szczęścić tak niespodzianie — a nuż los może teraz miał być dla niego łaskawszym ?? Winnicka z temi morałami i zimnym poglądem na rzeczywistość przestraszała go...

— Baba ta chce ze mnie sobie zrobić ekonoma i sługę... Prawi mi morały dla dobra mojego, a ma po prostu w tem interes własny...

Trzeba się z tego otrząsnąć.

Postanowił wieczorem pójść do Winnickiej. Ale — ale rachował zapomniawszy o Barszewskim, który wiedział o wygranej i chciał z niej korzystać... Marszałek, pułkownik i on czyhali na odwet... Przysłali zaproszenie naglące... tym razem przyjmował już pułkownik u siebie w hotelu Europejskim, i nie myślał się wysadzać... Szło o grę tylko.

Pan Aureli nie życzył sobie przegrać — wolałby był wstrzymać się od grubszej gry, ale po wygranej — było to niepodobieństwem.

Znowu tedy położenie się pogorszyło. Kilkaset rubli zabrawszy z kasy z westchnieniem, powlókł się Aureli do pułkownika, z tą myślą już, aby oznajmić, że musi wyjechać, i — dać się Winnickiej tymczasowo wyprawić, dla ocalenia wygranej

Postanowienia tego jednak nie był pewnym.

Pułkownik po nieosobliwej herbacie z rumem, zaraz do gry posadził gości. Zabierało się na znaczną bardzo, bo do stołu zasiadał też znany z ryzykowności i szalonych wybryków, młody magnat, który wygrywał i przegrywał czasami krocie jednego wieczora.

Pan Aureli miał nadzieję, że on będzie tu solenizantem, a jemu dozwoli zostać w cieniu. Dosyć niechętnie i z obawą zasiadł do stolika.

Barszewski, siedzący przy nim, szepnął do ucha :

— A co ? przyniosłeś z sobą swoje szczęście ?

— Gdzie tam ! jestem zakłopotanym i do gry nie mam ochoty... mam przed sobą podróż.

— Dokąd ?

Nie odpowiedział Aureli.

Gra się rozpoczęła w ten sposób, że Żabiec jeden z pierwszych wystąpić musiał ze znaczniejszą stawką, był pewien że przegra, ale wygrał.

Odetchnął trochę swobodniej.

Młody panicz, szukający z tego chluby, że zawsze z zuchwalstwem wielkiem występował, podbił bębenka pułkownikowi, a marszałek przez próżność nie chciał pozostać za nimi, i gra przybrała rozmiary groźne, Żabiec miał prawo trochę pozostać za nimi, równie jak Barszewski.

Obronną więc ręką wyszedł Aureli, gdy dobrze po północy młody gość wstał zgrawszy się kapitalnie, ale z uśmiechem i wesołością nadrobio-

ną — zapraszając tych panów na jutro do siebie.

Aureli wymówił się grzecznie, lecz nie przyjęto ekskuzy.

Wyszedł z niewielką wprawdzie, ale jeszcze z wygraną.

Nazajutrz bądź co bądź musiał już być u Winnickiej, która zbrojna czekała na niego.

Wszedł pokorny, narzekając na niezdrowie, na interesa swoje.

Stara przyjęła to uśmiechem.

— Ale, nie potrzebujesz mi się pan tłumaczyć, — odpowiedziała zimno. — Swobody twej krępować nie myślę. Rozumiem to dobrze, iż zmieniając życie, musisz się namyślać i walczyć ze sobą... A przytem słyszałam, już nie wiem od kogo, żeście w tych dniach mieli dużo zaproszeń i wesołych zebrań.

Aureli nie zaprzeczał.

— A cóż z podróżą naszą? Jedziesz czy nie? bo ja kogoś posłać muszę!

— Radbym służyć — odparł Aureli — ale rzeczywiście się obawiam, żeby nie zrobić zawodu. Nie mam najmniejszej wprawy, nie czuję się zdolnym.

— Będziesz tem ostrożniejszym — wtrąciła Winnicka — tem lepiej.

Aureli niepewny siebie, wahający się, zarzucił, że mieszkanie mu odnająć trudno, że się pozbyć sprzętów, jakie miał, nie może bez straty.

— Oddaj je na skład — odezwała się Winnicka...

— Prosiłbym choć o kilka dni zwłoki — dodał nieśmiało.

— Dobrze — poczekam — odezwała się z powolnością niespodziewaną stara...

Zwróciła rozmowę natychmiast bardzo zręcznie na zupełnie obce sprawy, na inne czasy, na swe dawne stosunki i w sposób niedozwalający się dorozumiewać co miała na celu. wtrąciła nazwisko hrabiny starej i Eleonory...

Żabiec który się nie miał na ostrożności, bo wspomnienia tego nie mógł się spodziewać. zdradził się rumieńcem.

— Hrabina, to moja bardzo dawna znajoma, nie mogę powiedzieć przyjaciółka, ale prawie bym powinna ją tak nazwać — ciągnęła dalej nie patrząc na niego ciotka. Nieszczęśliwa kobieta... przez całe życie się jej nie wiodło jak mnie. Jedną córkę miała i tę trzeba jej było tak nieszczęśliwie wydać za mąż. To tylko dobrze, że pono Eleonora się spodziewa odzyskać wolność.

— Jakim sposobem? wykrzyknął Aureli.

— Mąż jej suchotnik, mówią. że nie pożyje długo, ona... młoda...

Żabiec spuścił oczy...

— Ale majątku nie odzyska — dodała Winnicka — ten przepadł. bo suchotnik go miał czas zmarnować.

Mówiąc to, powoli wpatrywała się w Aurelego który już umiał teraz słuchać z obojętnością zupełną — jakby go to nie obchodziło wcale.

Wtem Winnicka. którą zdaje się bawiło udręczenie siostrzeńca — odezwała się.

— Ale? — chciałam spytać — znasz czy nie matkę i hrabinę Eleonorę? Uważałam, że gdym wasze nazwisko wspomniała, zrobiła taką jakąś minę znaczącą?

— Kto?—przerwał Aureli—matka czy córka?

— Matka! bo ja córki prawie nie widuję — obojętnie ciągnęła dalej Winnicka.

Żabiec zaledwie miał czas się namyśleć, co odpowie. Trzeba mu to przyznać jednak, że choć nie wszystko mówił. gdy mu co niewygodnem było nie kłamał nigdy — znajdując, że kłamstwo niepowrotnie kompromituje i upadla. Na zapytanie więc, odparł chłodno:

— Spotkałem matkę i córkę przed wielu latami w Szwajcarji.

Nielitościwa stara nie skończyła na tem.

— Byłeś w jakich stosunkach...

— Znajomość, jak zwykle za granicą — rzekł Aureli i dodał: Zdaje mi się. że hrabina matka obawiała się o to, abym się nie starał córce podobać i dosyć niegrzecznie się mnie pozbyła...

Widząc go tak szczerym. ulitowała się naostatek ciotka i poczęła mówić o Eleonorze.

— Lepiej znam matkę, niż młodą panią — rzekła — narzeka teraz na zięcia. ale sama winna,

spekulowała na niego, on spekulował na nią rachując, oszukali się wzajemnie. Eleonora ma być z mężem nieszczęśliwa...

— Nic o tem nie wiem — przerwał Aureli— ale mi jej żal bardzo...

To powiedziawszy, zdało mu się, że dosyć już wyspowiadał się ciotce i zabrał się do odwrotu.

— A zatem — powtórzyła żegnając się — daję waćpanu kilka dni, namyśl się. Miałeś dobre postanowienie, nie daj-że się starym nałogom sprowadzić z drogi...

Bardzo by mi waćpana żal było...

Miej męztwo...

Spojrzała mu w oczy z takim wyrazem życzliwości, iż Żabiec poruszył się, uczuł wdzięczność, pocałował ją w rękę milcząc i odszedł.

Po drugi raz kobieta ta wywierała na niego wrażenie takie. Zachwiał się. Cierpiał, gdyż był w niezgodzie z sobą i walczył. Rozum życzył pójść za radą Winnickiej, a nawyknienie, lenistwo, nałóg ciągnęły wstecz.

— Gdyby ta przeklęta Salomea nie nadeszła — wszystko by się było skończyło... I w dodatku? kto? panna Salomea — prawdziwa kara Boża...

Do wszystkich goryczy jakie miał w duszy, łączyło się jeszcze wspomnienie świeżo odrodzone Eleonory, jedynej w życiu miłości, już nieco przygasłej, ale zawsze jeszcze poruszającej serce. Mąż

jej chorował, skazanym był, ona mogła być wolną, ale Żabiec nic się nie spodziewał zyskać na tem. Była zrujnowaną, a on — nie miał nic... I na straży stała nienawidząca go matka.

Nazajutrz tak uczuł się znękanym Aureli, że nie wyszedł z domu.

Dnie te, które zmuszonym był czasami spędzać na Mokotowskiej ulicy, sam z sobą lub z jakim romansem francuskim w ręku, były dla niego prawdziwą męczarnią. Mimo woli naówczas przychodził rachunek sumienia, zgryzoty, żale i przewidywania przyszłości, a gdy po takiem dobrowolnem zamknięciu wychodził na świat potem, potrzebował odżyć czemś, tak go samotność zatruwała.

Całego jednak dnia sam na sam z sobą nie dała mu spędzić Salusia. Wpadła do Rzepskiego i wcisnęła się do niego. Nie rad jej był i przyjął zimno.

Nie przyznała się do tego, że miała stosunki z Winnicką.

— Przyszłam się dowiedzieć co pan myśli poczynać? — spytała.

— A cóż? nic — powrócę do dawnego mojego porządku.

— Chyba do nieporządku — przerwała śmiało panna Salomea — no, a potemże co?

Ruszył ramionami Aureli.

— Znowu ucieczka do flaszeczki! wstydź się pan! Zkądże na życie się znowu pieniądze wzięły...

— Panna Salomea nadto ciekawa.

— Bo ja panu jedna dobrze życzę...

— Dajże mi pokój...

Zaczepiała z różnych stron, nie mogła się dowiedzieć nic... — ale wygadała się z tem, że starała się zasięgnąć informacyj o stanie interesów Winnickiej.

— Wszak to i pana Aurelego może obchodzić — rzekła.

— Tyle pewnie wiesz co i ja — rozśmiał się Żabiec. Zrujnowana jest, ale majątek jej jeszcze pozostał, a że teraz żyje oszczędnie i rządzi się jako tako... może cóś mieć!

Ruszył ramionami.

— Wcale zamożna — odparła Salusia. — Wszystko to bajki, żeby była zrujnowaną. Zaplątał ją mąż i dzieci, ale zrujnować nie mogli, bo się ciągle pilnowała. Ona tak udaje ubogą, jak drudzy bogatych... bo jej z tem wygodniej i ma rozum... Gdybyś pan też miał go i chciał się jej przypodobać.

Żabiec się rozśmiał.

— Wiem od ludzi — dokończyła Salomea — że z majątków długi pospłacała i bodaj zapas ma... Z siostrą i bratem, którzy ją chcieli obedrzeć, jest źle... Dla pana otwarte pole...

Zaczynało to w końcu nudzić p. Aurelego, że mu się taki szurgot za mentora narzucał i pozbył się jej prawie niegrzecznie...

* * *

Los który sobie stroił igraszki z pana Aurelego i brał go na męki, najdziwaczniej składał teraz okoliczności, aby niepewność przedłużać i nie dać mu stanowczego uczynić kroku.

Gdy po długiem wahaniu się na ostatek postanowił już, zatrzymując mieszkanie przy ulicy Mokotowskiej, pojechać na czas jakiś do majątku Winnickiej, choćby dla przekonania się co ona miała — prawie na wsiadanem dowiedział się naprzód o śmierci matki hrabiny Eleonory...

Chociaż wypadek ten nie mógł żadnego wywrzeć wpływu na stosunki od lat tylu przerwane — pomięszał tak myśli Aurelemu, zachwiał nim, że położył się w łóżko i dał znać Winnickiej o słabości...

W samej istocie była to niedorzeczność, gdyż śmierć ta nie zmieniała położenia... ale sama nadzieja, że się zbliżyć będzie mógł do Eleonory, do wszelkich ofiar go czyniła gotowym.

W tak wystygłym i zepsutym człowieku dziwnem było trwanie uczucia, które niczem nie podsycane, dawno powinno było wygasnąć.

Winnicka choć się nie spodziewała tego — zrozumiała. — Zdziwiła się... Przypuszczać zaczęła, że chyba tajemne stosunki jakieś istniały między nim a Eleonorą, ale przypuszczenie to było fałszywe.

Ażeby się przekonać, czy istotnie był chorym, Winnicka kazała sprowadzić powóz i — rzecz niesłychana — pojechała na Mokotowską ulicę.

Gdy Rzepski leżącemu w szlafroku na łóżku przybiegł dać znać przestraszony o przybyciu ciotki, pan Aureli sam nie wiedział co począć.

Spojrzenie które miała rzucić na jego kawalerskie gospodarstwo, było mu niemiłem. Wiedział już jak Winnicka bystre miała oko, ale odprawić ją odedrzwi — nie było sposobu.

Narzucił na siebie surdut i wybiegł naprzeciwko niej.

— Jestem niespokojna, przyjechałam się dowiedzieć — co ci jest?

— A! nic — niedyspozycja! doktor radził parę dni pozostać w domu.

— Wiesz już żałobną nowinę?...

Aureli udał, że nie wie o niczem, ale się zdradził rumieńcem.

— Matka hrabiny Eleonory, o której niedawno mówiliśmy, zmarła prawie nagle. Biedna córka ma jeszcze oprócz tej żałoby, drugą zbliżającą się, mąż jej stanowczo dogorywa w Meranie.

Żabiec nic nie odpowiedział.

Winnicka weszła naprzód do saloniku, gdzie ją prosił siedzieć, ale jakby nie słyszała tego, roztargniona przechodziła się po pokojach, zaglądając ciekawie. Niepodobna było drzwi zamykać, ani jej wstrzymywać — doszła aż do progu sypialni.

Ztąd można było widzieć dwa portrety, ojca i matki Aurelego. Na pierwszy z nich zaledwie rzuciła okiem i odwróciła się — ale wizerunkowi nieszczęśliwej siostry ciekawem okiem przypatry-

wała się długo, przestąpiła próg, zbliżyła się, stanęła i ze wzrokiem wlepionym w obraz, milcząca pozostała czas jakiś. Zdawało się Aurelemu, że łza się jej w oku zakręciła. Potem odeszła nazad do salonu i usiadła.

Zabiec stał oczekując rozkazów...

— Przyjechałam — odezwała się w końcu— przyjechałam się dowiedzieć o chorobie, no — i powiedzieć panu... rozmyśliłam się... Nie wymagam od niego podróży tej dla moich interesów, byłaby to za wielka ofiara, a tam w miejscu mam sąsiada, bardzo uczciwego człowieka, który wszystkiemu da radę. Nie zrywaj-że się... ale staraj wyzdrowieć — i — przyjdź potem do mnie...

To mówiąc, wstała z powagą i smutkiem, a Aurelemu trudno było odgadnąć, czy się ulitowała, gniewała, zwątpiła o nim, czy zmieniła zdanie... słowem — co myślała i zamierzała.

Z tego wszystego, co dotąd uczyniła w istocie — wniosku jakiegoś wyciągać nie łatwo było, i ten, ktoby go wywiódł logicznie, omyliłby się. Winnicka nie miała innego celu, tylko wypróbowanie siostrzeńca, jego mocy ducha, możności poprawy... Interesa jej nie wymagały wcale podróży i ona nie myślała go wyprawiać. Zmyślonem było owe powołanie do Klotyldy i wezwanie do własnych interesów... Winnicka chciała wiedzieć czem i kim był w istocie ten rozbitek czy warto było się nim zająć, czy zasługiwał na współczucie.

Koniec końcem doprowadziwszy ten eksperyment do ostatecznej granicy możliwej, sama niewiedziała co zdobyła. Aureli był w istocie słabym i miał zachcianki i poruszenia dobre, a zbywało mu na sile do wykonania ich, ale — czuła Winnicka, że nie on sam winien był temu, że ojciec przelał mu swój temperament, a co gorzej wychował go na próżniaka, łudząc mrzonkami i psując.

Teraz żal się jej tylko zrobiło człowieka, a — portret siostry, którą ona zaledwie sobie przypominała — poruszył ją, wywołał dziwne uczucie, do którego nie była nawykła.

Sama już nie wiedziała co ma robić z tym niedołęgą siostrzeńcem? Karmić jego próżniactwo · zepsucie? nie było w jej charakterze — porzucić go na łup nałogom, na ofiarę ludziom co go otaczali? serce nieco zmiękłe nie dozwalało.

Wyjechała z Mokotowskiej ulicy nie kontenta z siebie, bo zachwiana. Po co się było dać wplątać niepotrzebnie w opiekowanie Żabcem. Przez lat tyle go nieznali Czarnogrodzcy, wyrzekli się — ona dała się uwieść ciekawości, wciągnąć, zająć, i teraz... sama nie wiedziała co dalej. Ofiar czynić nie miała ochoty, a — żal go jej było.

Smutna i zadumana powróciła do domu.

Tymczasem Aureli pozostawszy sam po tych odwidzinach niespodzianych, łamał sobie głowę nad tem, jak je miał tłumaczyć? Znaczyły one

współczucie? czy — zakończenie i zerwanie z nim.

Wczoraj naglila o wyjazd, dziś uznawała go niepotrzebnym, zbytecznym, nie chciała ofiary!

Co to miało znaczyć?

Dla człowieka tak słabego, jakim był Zabiec — znaleść się w położeniu niejasnem — nie dobrze zrozumiałem, stanowiło mękę niewysłowioną.

Czuł się tak zwichniętym, a w dodatku śmiercią matki hrabinej Eleonory poruszonym... iż radby był niemal, gdyby go co popchnęło, przymusiło do jakiegoś stanowczego kroku, bo sam się na niego zdobyć nie umiał.

Przeklinał swój los i tę niegodziwą Salusię...

Wiadomość o zgonie starej hrabiny na chwilę go zboczyła... bo oswobodzała Eleonorę, na której serce jeszcze rachował... Mąż dogorywał, jak powiadano...

Spytał się sam siebie — cóż dalej! Gdyby nawet owdowiała i była wolną?? Pozostawało jej dziecię, majątek zrujnowany, rodzina dalsza... Jak do niej przystąpić miał i czy mógł?? Po leciech tylu... wymęczywszy się myślami temi, z których nic a nic wycisnąć nie umiał, w końcu p. Aureli postanowił nazajutrz wstać, oddać wizytę Winnickiej i — nie robić nic... a zdać się na los...

— Fatalizm mnie ściga — mówił sobie. — W mojem miejscu najenergiczniejszy z ludzi niedałby sobie rady...

Nie ma wyjścia! nie ma wyjścia... Zresztą

pieniędzy ta fatalność przysypała mi jakby umyślnie tyle, że przez czas jakiś czekać mogę. Pal licho — resztę.

Winnicka umywa ręce! Tem lepiej — będę swobodny. Dopóki pieniądzy starczy, nie mam powodu spieszyć się z niczem, mogę czekać. Jedyna reforma, wieczorów dawać nie myślę...

Postanowiwszy więc nic nie robić, i dać się dalej prądowi unosić, poweselał zaraz p. Aureli. Rzepski usłyszał go, że świstał chodząc po pokoju.

— A no! to już dobrze!— zamruczał — kiedy świszcze... to znowu żyć pocznie po dawnemu...

Jakoż drugiego dnia rano Rzepski znalazł go rozmyślającego nad ubraniem, wybierającego się na miasto jak za dawnych czasów, i gdy po południu przybiegła panna Salomea, oznajmił jej, że nie ma co już myśleć o żadnych zmianach.

— Ja jego znam... Był się trochę zachwiał, ale pieniędzy nie wiem zkąd dostał, próżnoby go teraz namawiać, aby życie odmienił. Ani Winnicka nawet temu nie podoła.

Tegoż dnia stawił się z rozjaśnioną twarzą u niej pan Aureli.

Spojrzała na niego, ale była od wczoraj sama tak zachwianą, że ani słowa o dawnych projektach nie powiedziawszy, rozmowę o obojętnych przedmiotach prowadziła zimno, nie dopytywała go nawet co z sobą myśli robić — wróciła mu wolność a żegnając tylko dodała.

— Ale, jak ono jest to jest, nie zapominaj waćpan o mnie i nie wyrzekaj się mnie — proszę.

Swobodnie oddéchając wyszedł od ciotki pan Aureli — ale — nie bez pewnego uczucia doznanego zawodu.

Opieka Winnickiej była mu uciążliwą — to prawda, ale dowodziła interesowania się, była opieką. Uwolniony pan Aureli — widział się zarazem opuszczonym. Na Winnickę już wcale rachować nie mógł.

Nie umiał pogodzić uczuć, które się w nim rozbudziły — rad był zarazem i gniewał się... gdyby go przymusiła do stanowczego kroku, byłby może stękał, ale miałby jakąś nadzieję, teraz — nie było żadnej.

Aby się rozerwać, poszedł do nieco zaniedbanych przyjaciół i znajomych, usiłując być wesół; odwidził Barszewskiego, który siedział w domu z fluksją i czekał na pieniądze ze wsi. Korjatowski był mocno zajęty... Złotą młodzież trochę w rozsypce...

O hrabinie Eleonorze, ostrożnie chodząc na zwiady, niewiele mógł wiadomości zebrać. — Smierć matki poprawiała nieco jej interesa, bo brała po niej spadek, który dotąd skrzętnie w rękach swych trzymała stara, zgryźliwa, niespokojna kobieta... O mężu mówiono, że już z Meranu na pewno powrócić nie mógł... — był skazanym.

Po pogrzebie matki, hrabina miała wyjechać z synkiem na wieś, nie wiedziano czy i kiedy powróci...

wcześniej pisał o córce!

Znalazł się więc p. Aureli z małą różnicą na tym samym punkcie, na którym był przed tą chwilą stanowczą, gdy licho przyniosło mu ową Salusię...

W dodatku nudził się...

Przez cały tydzień nudy te nosząc z sobą po mieście, usiłując rozrywać po dziecinnemu, znużony, znękany, już chciał się dać zaprosić gdzieś na wieś, aby uniknąć zabijającej jednostajności, gdy — jednego dnia... niespodzianie spotkał w ulicy przejeżdżającą hrabinę Eleonorę w grubej żałobie po matce.

Więc — powróciła już!

Niespokojny — zburzony znowu poleciał na Mokotowską ulicę, potrzebując być sam i rozmyśleć się czy — nie mógł... czy nie powinien był, teraz — gdy nic nie przeszkadzało — przynajmniej dać znaku życia, złożyć choćby bilet u niej?!

Stosunki od lat tylu były zerwane... Miał że je odnowić i okazać, że się nigdy ich nie wyrzekł dobrowolnie i tylko dla matki zmuszonym był się oddalić?

Kochał ją jeszcze — tak — ale ona!

Oczy jej, gdy się spotykali czasami, z daleka, zdawały się mówić, iż niezupełnie zapomniała o nim!

Godziło się spróbować!

Wahał się i — nie wiedział...

Wprawiło go to w rodzaj gorączki. W tej sprawie nawet nikogo się radzić nie mógł...

Przez dni kilka bił się tak z sobą. Poszedł się dowiedzieć o adres... Myślał jeszcze... Przygotowany do odwiedzin tych, wyszedł... i powrócił z niczem. Nie miał odwagi.

Przyszło mu na myśl, że iść teraz po śmierci matki było niejako obwinić nieboszczkę — którą córka opłakiwać musiała... Znajdował to niedelikatnem.

Wolałby był po raz pierwszy się spotkać w miejscu jakiem neutralnem i tam się jej przypomnieć. Powróciwszy do domu — czynił sobie natychmiast wyrzuty, że delikatność była przesadzoną i wmówił sobie, że powinien był pójść — ale tego dnia godzina już była spóźniona.

A zatem — jutro...

Nie wyszedł już dnia tego leżąc w szlafroku na łóżku. Po południu Rzepski oznajmił, że przyszła panna Salomea, nie kazał jej wpuszczać, ale — nie pytała o pozwolenie. Wcisnęła się nieproszona...

Przyjął ją prawie grubjańsko.

— Przyszłaś się dowiedzieć, czym się nie struł? a no — nie — i już o tem nie myślę... Bądź spokojna... i wypuść mnie z opieki...

— Otoż to wdzięczność! — szepnęła stara panna.

— Za co ja mam być wdzięczen! nie rozumiem.

— A ja tłumaczyć nie będę. Cieszę się, żeś pan zdrów... i do nóg upadam. — Wyszła zagniewana...

Drugiego dnia rano, nie żartem już, z najmocniejszem postanowieniem dotarcia aż do drzwi hrabinej, wyruszył z domu z gorączką...

Hrabina Eleonora zajmowała wcale nie wspaniały lokal przy Miodowej. Dom wprawdzie był pokaźny, ale mieszkanie szczupłe... Dzwonić musiał parę razy nim się ukazał służący, któremu milcząc oddał bilet... Jak gdyby wizyty nie były tu rzeczą zbyt powszednią, lokaj studjował kartę podaną, myślał, poszedł z nią do pokojów, i dość długi czas upłynął, nim przyniósł odpowiedź.

Serce biło mocno Aurelemu... Spodziewał się być odprawionym z niczem, ale sługa milcząc otworzył mu drzwi salonu...

Była to niespodzianka — w oczach mu się zaćmiło wchodząc... W saloniku, małym i bardzo skromnie ale smakownie urządzonym, nie było jeszcze nikogo... Wdowim jakimś smutkiem zawcześnie wszystko tu było obleczone. Kilka książek na stoliku, trochę kwiatków przy oknie... świadczyły o życiu... Zapomniana zabawka chłopca leżała na jednem krzesełku razem z książką dziecięcą, której obrazki widne były...

Pan Aureli jeszcze się rozpatrywał ciekawie, gdy suknia zaszeleściała i weszła czarno ubrana, blada, z twarzą zmęczoną, smutną... Eleonora... Widać było po niej, po nieśmiało stawianych kro-

kach i wejrzeniu obłąkanem dziwnie, że ją też kosztowało wiele to spotkanie, i że nie chciała może odprawą zimną okazać, że do niego zbytnią przywiązywała wagę...

Aureli skłonił się nie mówiąc słowa, ręka jego drżała, głosu mu brakło...

Hrabina wskazała mu krzesło, i szukała słowa na przywitanie, czekając czy on ją nie wybawi z tego pomięszania, jakiego doznawała.

— Od dawna — począł niezręcznie Zabiec — chciałem się przypomnieć pani. Nie miałem odwagi. Sądziłem, że będę miał szczęście spotkać gdzieś...

— A! ja — nigdzie prawie nie bywam, — głosem cichym, drżącym odezwała się co prędzej siadając hrabina... — a teraz, mniej jeszcze... Straciłam matkę...

W rysach tego niegdyś idealnie pięknego dziewczęcia, malowały się losy jego — cierpienie straszliwe, długie, odrętwiające...

Była jakby skamieniałą jego trwaniem. Młodość świeciła jeszcze resztkami na twarzyczce wychudłej, w oczach zapadłych, na skroni przepasanej przedwczesnemi marszczkami... ale nie było najmniejszego starania o zachowanie jej — żadnej myśli o sobie, o wdzięku...

Spojrzała na niego, łzy miała w oczach...

— Będę zapewne zmuszoną wyjechać... — dodała plącząc się. — Ojciec mojego Brunonka chce go widzieć...

Westchnęła...

— Radabym mu go zawieść, ale po śmierci matki tyle na mnie spadło trosk i interesów, a hrabia tak małą mi być może pomocą. Chory bardzo...

Podniosła oczy... Aureli nie mógł znaleść nawet słowa na kondolencję, położenie obojga było nadzwyczaj przykre — ona sama prawie nie wiedziała co mówiła — oczy ich wzajemnie się badały, na usta to co myśleli wyjść nie mogło...

Zdaje się, że przewidując to hrabina gdy wychodziła do salonu, musiała dać rozkaz aby Brunonek się tu stawił. Zabiec zaledwie usta otwierał, dla przemówienia jakichś słów kilku bez znaczenia — gdy się drzwi zwolna uchyliły i ładny chłopaczek, z włosami długiemi w puklach spadającemi na ramiona, wsunął się nieśmiało.

Matka wzięła go za rękę...

— Mój syn — rzekła — całe moje teraz życie.

Głos jej słabnął, pocałowała go w główkę.

— Pani się jednak tak rychło zapewne nie wybiera — przerwał Aureli nie wiedząc co mówić.

— Sama nie wiem, radabym... ale mnie wstrzymują kłopoty, które spadły po biednej mamie. Ona ich tyle miała na sobie, oszczędzając ich mnie...

Westchnęła...

— Podróż w tej porze do Tyrolu — dodał Aureli — może być nawet utrudnioną i nieprzyjemną....

Hrabina słuchała z szeroko otwartemi oczyma, które nic się nie zdawały widzieć, wargi jej drżały, nie zrozumiała co mówił...

— Pan sądzi ? ? — spytała...

— W górach, zimą, to zależy od tak niepewnych zmian pogody... śniegi...

— A ! tak ! śniegi !

— Ale w Meran róże kwitną...

— Tak — cały rok tam te blade różyczki kwitną...

Chłopiec słuchał z zajęciem.

— Zimą ? — wtrącił — Ale przecież papa pisał, że śnieg padał i góry są nim okryte...

— Góry, tak, góry — odezwała się matka — ale to nie przeszkadza, że w dolinie kwitną róże...

Aureli milczał zadumany.

— Jabym bardzo rad, żeby mama pojechała — szepnął Brunonek, uśmiechając się.

— A Warszawy żal ci nie będzie ? — zapytał p. Aureli sam nie wiedząc dla czego to robi.

— Nie, babuni nie ma, a zresztą my tu nikogo nie widujemy prawie, a róże w wazonikach tylko — mówił Brunonek tuląc się do matki.

Nastąpiło trudne do przerwania milczenie, ale pierwsze wrażenie było już przezwyciężone a odwaga powracała obojgu. Żabiec począł mówić o Tyrolu, o klimacie, o piękności kraju dolomitów. Hrabina słuchała roztargniona.

— Ja także — dodała — znajduję go czasem nawet od Szwajcarji piękniejszym, choć dzikszym.

Wspomnienie Szwajcarji i Tyrolu przywiodło na pamięć dawne czasy.

— A! nie od Szwajcarji — zaprzeczył żywo Aureli, wywołując rumieniec na twarz hrabiny — dla mnie Szwajcarja jest najpiękniejszym krajem na świecie.

Brunonek patrzył na niego wielkiemi, zdziwionemi oczyma.

Wejrzenia ich się spotkały, nastąpiło milczenie znaczenia pełne. Po latach tylu, to spotkanie, w którem szuka się dawnych wrażeń, nigdy nie powracających, a najczęściej znajduje nowe i niespodziewane, jest najniebezpieczniejszą próbą dla serc. Hrabinę i jego tyle wypadków i ludzi przedzielało od tego krótkiego marzenia rozpoczętego w podziemiach Chillonu, rozerwanego nad brzegiem oszalałej rzeki w Meranie, że nie wiedzieli, czy znowu tych samych siebie znajdą. Eleonora miała dowód że on o niej nie zapomniał, bo, jak tylko wolno mu było, przyszedł się stawić. Chciała mu za tę wierność okazać się wdzięczną, ale nie słowem, tylko wejrzeniem, które więcej nad nie powiedzieć mogło.

Ponieważ Brunonek stał uparcie, a przy tem pierwszem spotkaniu trudno było się zebrać na odwagę obojgu, Aureli po krótkiej rozmowie pożegnał hrabinę.

Wyszedł uspokojony i szczęśliwy — bo wątpił, czy zostanie przyjętym i czy hrabina pozwoli mu się zbliżyć do siebie — a znalazł ją uprzejmą

i życzliwą. Było to więcej niż się spodziewał — i życie mu zaraz jaśniejszem się wydało, godniejszem ofiar... Eleonora była tąż samą, która go zachwyciła w Montreux, za którą gonił do Meranu — o której, szalejąc, lat tyle myślał z rozpaczliwą tęsknotą.

Od hrabiny wprost udał się do Winnickiej, która go przyjęła grzecznie, ale zimno i tak jakby już wyrzekła się zajmowania nim i opiekowania... Przypomniała tylko niedzielne objady, od których go nie chciała uwolnić, zresztą nie dopytywała nawet co zamierza nadal i pocznie. Rozmowę przeciągała, badała — bawiła się nim, lecz o interesach, o podróży, o reformach życia wcale mowy nie było.

Tymczasem właśnie sam Aureli największy czuł popęd teraz do przedsiębrania czegoś, do zrehabilitowania się w oczach ludzi — a w dodatku i pani Winnickiej i pani hrabiny...

Powróciwszy na Mokotowską ulicę, natychmiast wziął się do obrachunku kasy swojej — powiedział sobie, że weźmie dzierżawę... Miał jeszcze tyle, że biorąc wioskę za jakie trzy do czterech tysięcy rubli, zostawało mu dosyć na kapitał obrotowy; a nasłuchał się tyle przy kartach, grywając z wieśniakami, o warunkach posesyj, że pochlebiał sobie z pomocą ekonoma, podpatrując sąsiadów, dać temu radę.

Stracić pieniądze w mieście na wieczorki, czy na wsi, w nieszczęśliwej dzierżawie? — drugie było z pewnością przyzwoitszem....

Nazajutrz nikomu się nie zwierzając, znalazł się u Korjatowskiego, prawnik mógł mu coś nastręczyć. Nie chciał daleko się wynosić od Warszawy. Korjatowski przyrzekł się starać. Wszystko to z gorączkowym pospiechem się wykonywało; tylko że dzierżawcą chcieć zostać. jest rzeczą ważną. Musiał więc czekać parę tygodni, co dzień się dowiadując do Korjatowskiego, który nareszcie znalazł coś nad szosą prowadzącą do Siedlec, nie zbyt odlegle i z cegielnią, która mogła dostarczać wyrobów do Warszawy.

Z dosyć nierozważnym pospiechem natychmiast Aureli gotów był kontrakt podpisać, a Korjatowski musiał go ostudzać i sam dopilnować interesu.

O tem wszystkiem żywa dusza nie wiedziała, Winnicka domyślała się z rozgorączkowania, że — jak mówiła — solenne jakieś głupstwo gotuje się zmalować, Rzepski mruczał, Salomea gderała — nikt nie mógł odgadnąć, co było na warsztacie — ale nosił głowę tak wysoko, a humor był tak dobry, że — Winnicka chwilami mówiąc o tem z panną Klotyldą, przyznawała się — że nic z tego nierozumie...

W niewiem którą już potem niedzielę na objad obowiązkowy, przystawił się ze szczególniej rozjaśnioną fizjognomią — Winnicka uważała, że ją serdeczniej, niż zwykle w rękę pocałował. Zasiedli zaledwie, gdy począł.

— Nie wiem. czy już rychło będę miał przyjemność pani dobrodziejce służyć w niedzielę, -- odezwał się, i podniósł uśmiechnięte oczy z tryumfującym wyrazem.

— A to co? — zapytała Winnicka prostując się.

— Zdecydowałem się wziąć dzierżawę — rzekł śmiało Aureli — będę próbował życia wiejskiego, choćby dla tego, abym próżnując na wsi, mógł uchodzić za pracowitego człowieka....

Winnicka załamała ręce.

— Żartujesz ? — zapytała.

— Bynajmniej... o małe trzy milki ztąd istotnie od marca obejmuję dzierżawę... Pani dobrodziejka, ktora byłaś dla mnie pierwszym mentorem i doradcą do zmiany życia, powinnaś się cieszyć swem dziełem.

— I to w istocie... prawda! — powtórzyła Winnicka.

Skłonił się rękę kładąc na piersi Aureli. Oddychał swobodnie.

— Winszuję — odparła krótko Winnicka i siadła przy nim, widocznie poruszona. — Mów że mi waćpan szczegóły. Wiele płacisz za dzierżawę ?

— Wczoraj wyliczyłem z góry — począł tryumfująco pan Aureli i puścił się w szczegóły, trochę romansowo rozwodząc się nad cegielnią.

— Masz że waćpan na wkłady, na inwentarz? — spytała — nie dostaniesz się w ręce lichwiarzy?

Żabiec tłumaczył się, liczył i dowiódł, że wszystko z góry obmyślił, choć wiele był winien radom Korjatowskiego.

Za każdym frazesem zadumana Winnicka powtarzała mu :

— Winszuję... winszuję.

W istocie sobie przypisywała to nagłe postanowienie Aurelego i wdzięczną mu była, że jej posłuchał, nie domyślając się nawet, że śmierć matki hrabiny Eleonory, że jakieś nieokreślone nadzieje... były głównym bodźcem do czynu.

Zaschłe serce biednej ciotki poruszone było i wdzięczne Żabcowi, że mogło się nawróceniem jego pocieszyć.

W ciągu całego objadu o niczem mowy nie było tylko o tej nowej dzierżawie, a Aureli miał ten takt, że się nie chlubił sobą, ale prześmiewał z siebie i przewidywał straty.

Dla Winnickiej zagadką pozostało, zkąd mógł wziąć na to pieniędzy, a nawet wszystko wiedząca panna Salomea, ani Rzepski nie mogli dojść ich pochodzenia. Stary sługa domyślał się wprawdzie wygranej, ale nie był jej pewnym, bo w ciągu lat wielu była bezprzykładną.

Z powrotem od Winnickiej, Aureli dopiero staremu Rzepskiemu oznajmił uroczyście o przenoszeniu się na wieś. Ten uszom nie wierzył.

— Meble i sprzęty trzeba zawczasu pakować, abyśmy je, jak tylko droga poprawi się nieco, wywozić mogli.

Wziął to za żart Rzepski, ale Aureli go wyłajał.

— Cóż ty myślisz, że ja z tobą będę się w żarty bawił!

Poszedł jak zmyty. Nazajutrz dowiedziała się Salusia i wpadła do niego.

— Co ja słyszę? pan Aureli bierze dzierżawę i na wieś się wynosi!

— A tak!

Zarumieniła się i pobladła.

— Przecież pan klucznicy będzie potrzebować? — szepnęła.

— Salusiu, nie wodź mnie na pokuszenie — odparł szydersko. — Ty nigdy klucznicą być nie potrafisz, bo już z drzewa wiadomości złego i dobrego kosztowałaś i czytasz książki. Nawykłaś do miasta, pozostań w niem i pokutuj za grzechy młodości.

Obrażona Salusia przerwała opryskliwie.

— Cóż to pan myślałeś, że ja się mu nastręczam do kluczy. Ani mi się śniło, ale byłabym panu zarekomendowała znajomą mi gospodynię. Ja sama wiem, że do tych funkcyj kwaszenia kapusty i ogórków, i suszenia grzybów stworzoną nie jestem... a to mi się podoba! Ja klucznicą.

— Przepraszam — odparł szydersko Aureli.

— I przyznam się panu, że zrywać się ztąd za panem na wieś nikomu nie życzę, bo długo to nie potrwa

— To może być — rzekł Żabiec — na to zgoda!

— Wie o tem pani Winnicka? — wtrąciła Salomea.

— Pierwszej się jej zwierzyłem — odparł Żabiec.

Zaintrygowana, nierozumiejąc nic, cofnęła się panna Salomea, obrażona i gniewna na Aurelego.

— Gdyby nie ja, przecie już by dziś za cmentarnym murem leżałby jak samobójca! — szeptała sobie — a za to drwi sobie ze mnie.

W kołach znajomych i przyjaciół od zielonego stolika wiadomość o nagłem postanowieniu p. Aurelego, oddania się życiu pracowitemu gospodarza wiejskiego, wywołała trochę podziwienia, a wiele śmiechu.

Nie wierzono temu.

— Farsa! — mówił Barszewski — jakaś fantazja dziwaczna, która, zrodziwszy się jak bańka mydlana, pęknie jak ona. Tyle lat prowadził życie wesołe, swobodne, bez troski, wiodło mu się — i ni ztąd ni zowąd — reforma!!

Drudzy powiadali:

— Jakaś w tem jest odwrotna strona medalu... To człowiek przebiegły, nic nie czyni bez obrachowania... Odkryje się to później.

Ci, co wiedzieli głucho, z dala coś o stosunku z ciotką Winnicką, chęci przypodobania się jej radom przypisywali tę reformę życia...

— Filut jest!! to nie darmo!

Szczęściem nikt a nikt istotnej i najbliższej przyczyny wcale się nie dorozumiewał.

Po pierwszych krótkich odwidzinach u hrabiny Eleonory, drugie nie mogły nastąpić tak prędko. Zbyt natarczywie natrętnym nie chciał być Aureli — przeczekał dni dziesiątek i stawił się w tej samej rannej godzinie. Hrabina była z synem na przechadzce. Spytany służący, czy się w podróż do Meranu nie wybiera, odpowiedział, że nic o tem nie słyszał. W istocie hrabiemu było nieco lepiej, a może śmierć starej hrabiny, z którą był z dawna w stosunkach niemiłych — ożywiła go. Despotyzm jej nie ciężył mu, spodziewał się łatwo dać radę z żoną i obiecywał sam powrót, jak tylko dni nadejdą cieplejsze.

Hrabina Eleonora, odebrawszy rozkaz pozostania w Warszawie, chętnie go usłuchała.

Gdy w parę dni potem przyszedł Aureli i zastawszy ją w domu o podróż spytał, odpowiedziała mu, rumieniąc się, że nie wie, czy pojedzie, a prawdopodobnie na męża tu czekać będzie...

Smutne milczenie nastąpiło potem.

— Pani hrabina więc pozostaje w Warszawie — dodał Żabiec — a ja również niespodzianie będę ją musiał po długich latach przebywania prawdopodobnie opuścić.

— Pan? — spytała Eleonora. — Nie byłożby to z powodu pani Winnickiej? Nieboszczka matka mówiła mi, że ona jest rodzoną ciotką jego, i że się zajmowała nim...

— Ciotką jest w istocie — odparł Aureli, trochę nieprzyjemnie dotknięty — ale losem moim

wcale się nigdy ani teraz nie zajmuje. Wziąłem po prostu dzierżawę... bo jakiś koniec trzeba było życiu zrobić... które upłynęło na marzeniach i oczekiwaniach nieokreślonych a mglistych.

Przyznaję się do tej winy, żem nadto a nadewszystko marzył za długo...

— Któż nie marzył! — szepnęła hrabina.

— Oburzają się przeciwko pijakom — dodał Żabiec — ale takie rozmarzenie to też stan nienaturalnego upojenia...

— Jeżeli kto nie ma obowiązków — przerwała hrabina — jest swobodnym, dla czegóżby życia nie miał uczynić znośniejszem... słodząc je marzeniami.

— Dla tego, że się z nich raz kiedyś potrzeba do bolesnej rzeczywistości obudzić, a naówczas — rozpacz jest tak okrutną, że...

Niedokończył Żabiec — zamilkli.

Po chwili hrabina zapytała, czy się wynosił daleko. Aureli smutnie opowiedział o tem wygnaniu, do którego się przygotowywał...

W ciągu tych rozmów czy z dobrej woli, czy z rozkazu, Brunonek się ani na chwilę nie oddalał — gniewało to Aurelego, niecierpliwiło — lecz zresztą hrabina była tak uprzejmą, oczy jej mówiły tak wiele, zdawała się tak mu dawać do poznania, iż nie zapominała o przeszłości — że woli jej poddać się musiał.

Tak było może lepiej... czuć a nie mówić nic...

Przy końcu rozmowy Żabiec znalazł sposób

wreszcie zapytać, czy nie był natrętnym, czy hrabina pozwalała mu czasem się odwidzić??

Spojrzała wyraziście i jakby zdziwiona...

Po cichu, głosem drżącym, z poufałością lat dawnych, szepnęła:

— Możesz że pan o to mnie pytać?

Już mający się żegnać Aureli siadł znowu wzruszony, wdzięczny za tych słów parę... Serce mu uderzyło gwałtownie, przeszłość odżyła w nim z całą siłą.

— Pani — odezwał się cicho — musiałaś już zapomnieć o tej ślicznej Szwajcarji, nad którą zdajesz się Tyrol przenosić, a ja... do dziś dnia codzień się witam i żegnam z obrazkiem, który mi ją uprzytomnia. Pamięta pani tego Szwajcara malarza, który w Montreux robił studja z natury? Wyprosiłem sobie u niego szkic Villi Sophia... i pozostał mi jako najdroższa pamiątka. Obok niej wisi fotografja Chillonu.

Hrabina się mocno zarumieniła.

— A! Villa Sophia — odezwała się nieśmiało — pan masz ją malowaną?

— Tak... I niedawno — rzekł wstając aby się pożegnać Żabiec — gdym sądził, że mi się trzeba będzie rozstać z tem wszystkiem co na ziemi było drogiem, ostatnią żegnałem tę willę na obrazku.

To mówiąc i nie chcąc się jaśniej tłumaczyć, wysunął się żywo z pokoju, zostawiając hrabinę zmięszaną i zdziwioną.

W charakterze Aurelego było wiele sprzeczności na pozór do pogodzenia trudnych... Dla siebie słaby, względem tych, którzy mu się poddawali despotyczny — niekiedy przewidujący i zręczny, zwłaszcza, gdy szło o cudzą sprawę, czasem ulegał uczuciu i wrażeniu aż do zapomnienia o następstwach. Nie był ani do szpiku kości zepsutym, ani tak łatwym do naprowadzenia na dobrą drogę, jak się chwilami Winnickiej i innym wydawać mogło.

Próby, na które go ciotka wystawiała, nie nauczyły jej wiele, obudziły politowanie, ale Winnicka czuła sama, iż zbyt na chwilowych dobrych chęciach polegać nie było można.

Dwie te nieznane sobie jeszcze niedawno istoty, oddziaływały na siebie. Winnicka z sercem zaschłem i goryczą zalanem, które po sprawach z rodziną nie chciało się przywiązywać do nikogo i zasklepiło w rodzaju lodowatego egoizmu — uczuła jakby słabostkę dla tego siostrzeńca — tak nieszczęśliwego i tak — postrzelonego.

Myśląc o nim wpadała w zadumę i powtarzała w duchu: Biedna istota!! ale przed panną Klotyldą i poufałemi swemi, kryjąc się ze słabością, szydziła po trochu z niego i mówiła, że nie wierzy jego dobrym postanowieniom. — Złamany jest...

Sam pan Aureli najmniej w siebie wierzył, szedł na oślep pod wrażeniem doznanych uczuć — niepewien, czy zajdzie daleko. Teraz mu szło o

to, aby nie miejskim próżniakiem bez przyszłości żadnej — stanął przed hrabiną, ale bodaj jako dzierżawca, bo posesje zawsze są jeszcze związane z posiadaniem ziemi... Wielu magnatów trzymało dzierżawy...

Potem, gdy siebie wyobrażał sam jako spekulatora na cegłach, na zbożu, na nabiale itp.— śmiał się... Tak mu to nie przystało!!

Ruszał ramionami — nie znał wartości pieniędzy, on, co je garścią do kieszeni sypał, a nadewszystko małych kwot rachunku, z których się składały większe, całkiem nie rozumiał.

W gorączce czas jakiś marzył — potem obudzał się nagle i oglądał dokoła, nie wierząc temu, co przed chwilą osnuwał.

W ciągu lat wielu pobytu w Warszawie, mnóstwo znajomości porobił Żabiec, a miał bez miary przyjaciół serdecznych, których się tak łatwo przy kieliszku zdobywa, a tak prędko potem zapomina. Ze wszystkich tych przyjaźni, jedna tylko, sympatyczniejszego od innych człowieka, na to nazwisko zasługiwała. Z panem Wincentym Niedrażewskim znali się od pierwszych czasów, gdy Żabiec przybył do Warszawy.

Był to typ w swoim rodzaju, czysto nasz, u nas nie rzadki, ale w tym Niedrażewskim do wysokiego stopnia wszechstronnie, szeroko rozwinięty. Wielką łatwością pojęcia i zdolnościami znakomitemi od natury obdarzony, w młodości piękny, miły, łatwo za serca chwytający, bo ludzki i u-

przejmy, wyrozumiały i uczynny — pan Wincenty odziedziczywszy po rodzicach bardzo piękny majątek — sam jeden, bez opieki — otoczony pochlebcami, zausznikami, psuty przez kobiety i wyzyskiwany, puściwszy się tą drogą co Aureli, doszedł do tego samego końca, ale ani na chwilę o tragicznym ostatnim akcie nie myślał — stał się interesującą, ładną ruiną.

Ubolewano nad nim, kochano go jak dawniej — on sam, nie czując się do zbytku nieszczęśliwym, zlikwidowawszy resztki, na wsi u bogatych krewnych żył jakby rodzaj rezydenta. Ogarnęło go jakieś lenistwo, opadł z sił — odpoczywał, kiedy niekiedy przy kieliszku odżywając wspomnieniami sybaryty. Szlafrok był dla niego teraz najlepszym z przyjaciół — i pantofle... Mając wygodne utrzymanie, dochód własny na dobre cygara i przysmaczki — więcej prawie nie żądał.

Rozczarowanym był zresztą.

Do Warszawy przyjeżdżał rzadko, bo to zawsze pewnego wymagało wysiłku; przybywszy, parę dni spędzał z dawnymi znajomymi, upajał się nieco, trochę męczył i rad powracał do swej ciszy na Podlasiu, za którą tęsknił, bo tam szlafroka prawie zdejmować nie potrzebował.

Tak samo jak Żabiec, pan Wincenty w sądach swych o świecie i ludziach był bardzo trafnym i jasnowidzącym, ale rozumu tego w praktyce do własnych czynności zastosowywać wcale nie umiał.

Przyczyną wszystkiego, jak u Aurelego, był brak charakteru — niedołęztwo woli.

Żabiec i on godzili się doskonale, potrzebowali siebie, nie mieli dla siebie tajemnic, i gdy się zeszli z sobą, rozstać się im było trudno. Niedrażewski przyjeżdżając do Warszawy zajeżdżał zawsze wprost na Mokotowską ulicę, mieszkał u niego i tu nieraz po całych nocach zagadawszy się, z potrzeby serdecznej wywnętrzenia, zapomi nali się, gwarząc jak studenci, śmiejąc się i opłakując zmarnowane życie.

Właśnie, gdy Rzepski zabierał się już do pakowania sprzętów, które poznosić miano, niespodzianie się zjawił przyjaciel Niedrażewski — a nigdy może tak za nim nie tęsknił, tak go niepotrzebował Żabiec — choćby dla poskarżenia się na to skołatanie, które go do szaleństwa przyprowadzało

Przyjaciel Wincenty znał cały świat i był w nim daleko poufalej i lepiej położony od Żabca, miał przystęp do salonów, z rodzinami pańskiemi był spokrewniony.

Przed nim i ze swej miłości dla hr. Eleonory nie czynił tajemnicy Żabiec — ale Wincenty nie dziwując się jej — wiele na nią rachować nigdy nie życzył.... Według niego hr. Eleonora była rozmarzoną kobietą, która kochała, śniła i gotową była upojeniu, jakiego potrzebowała... wiele poświęcić — ale to były fantazje nie miłość, poezja nie uczucie....

Tyle nowych wypadków zaszło, z których się Żabiec potrzebował spowiadać i radzić o nie!!

Witał go też Aureli jak zbawcę, wykrzykując radośnie, że pan Bóg go mu zesłał.

Ów niegdyś sławnie piękny pan Wincenty, dziś jeszcze bardzo przystojny był, ale wyniszczony przerażająco... Wychudły, blady, z zapadłemi policzkami, słodkiem tylko wejrzeniem niebieskich oczów przypominał ulubieńca kobiet, który w wielu sercach niezatarte zostawił wspomnienia... Niegdyś elegant, otoczony przepychem, rzucający tysiącami, teraz zmuszony się rachować z każdym rublem, wstydząc się swojego ubóstwa, unikał wszelkich spotkań, narażających na pokuszenia, którym siły nie miał się oprzeć. Dla tego się też krył z sobą przybywając do miasta i z Aurelim tylko spędzał zwykle dni kilka, niechętnie pokazując się tym co go znali dawniej w dostatkach...

Od progu już, postrzegłszy paki i przygotowania do podróży, Niedrażewski — zapytał przestraszony.

— Aureli! Co się to dzieje? ty się wynosisz? ty!

— Jak widzisz! dzieją się ze mną rzeczy nie do wiary — mam ci całą historję do opowiadania! Smutną, śmieszną, nieprawdopodobą. Tak! opuszczam kochaną Warszawę — począł Aureli — sam sobie nie umiem wytłumaczyć, jak do tej ostateczności przyszło... posłuchasz, osądzisz.

Spojrzeli sobie w oczy. Pan Wincenty stał zdumiony.

— Tak — ogromnie się wiele zmieniło... — westchnął Żabiec.

— Ale, nie na gorsze? — spytał Niedrażewski.

— Trudno dziś zawyrokować — dodał gospodarz — poddaję się pod twój sąd. Tymczasem spocznij, zapomnijmy o tem, a pozwól mi się sobą nacieszyć.

I uściskali się raz jeszcze...

Przesiedzieli potem razem do wieczora, ale Aureli nie dopuścił, aby rozmowa zbyt drażliwych przedmiotów dotknęła — przypominali przeszłość i żywili się okruchami jej.

Pod wieczór Wincenty zaczął przynaglać przyjaciela, aby mu się jaśniej wytłumaczył ze zmiany jaka tu zaszła; ale w tem właśnie była największa trudność, bo Aureli mógł się tylko wyspowiadać, nie umiejąc objaśnić dla czego uległ jakiejś fatalności, która nim miotała.

— Przypuścić muszę — mówił — że nadeszła chwila stanowcza, w której koniecznością był zwrot jakiś, bo wszystko to dla mnie samego niezrozumiałe. Wystaw sobie do czegom przyszedł. Strychnina stała tu na stoliczku, rewolwer leżał obok, w razie gdyby ona zawiodła. Byłem zupełnie przygotowanym. Rzepskiego posłałem do miasta, chodziło o kwadrans czasu może, wtem dzwoni ktoś do drzwi, raz, drugi, trzeci, znudzony idę

zobaczyć. Wsuwa się — kto? pamiętasz tę Salusię, służącą mojej matki, o której ci opowiadałem, że mi dała naukę. Dziś to stary szurgot, penitentka, dewotka, śmieszna, nic nieznacząca istota...

Los wybrał właśnie ją za narzędzie, aby mi życie ocalić! Ironja piekielna. Dla czego właśnie nadeszła w tej chwili, a nie w pół godziny później, dlaczego ona a nie kto inny?

Niedrażewski ramionami poruszał.

— Ale cóż to znowu za myśl — zamruczał — uciekać się do takich środków!

— Słuchajże dalej — westchnął Zabiec — nie będę nic tłumaczył ani się uniewinniał, zostałem stanowczo fatalistą. Po pannie Salomei następuje znajomość z ciotką Winnicką, najosobliwszą też w swoim rodzaju niewiastą, która, jak cała rodzina Czarnogrodzkich, znać mnie nie chciała, a teraz, przypuściła do oblicza swego i raczy się interesować, chociaż tylko radą i słowem przychodząc mi w pomoc... Co ty na to?

— Słucham, nie wiem nic...

Aureli przyznał się do chwili wzruszenia, którego doznał mówiąc z tą ciotką, i że nie był panem siebie, a postąpił jak dzieciak.

Wincenty słuchał, nie okazując tak wielkiego zdumienia, jakiego się spodziewał Aureli — on też przeszedł już podobną kryzys.

— Winnickę ja spotykałem dawniej, jak wiesz, i swojego czasu wiele się o niej nasłuchałem, chociaż ci tego powtarzać nie widziałem potrzeby.

Nie próbuj zrozumieć, ludzie jej nigdy nie rozumieli i nie wiem, czy ona sama kiedy wiedziała jasno, co robi. To pewna, że z własnemi dziećmi postępowała dorywczo, bez taktu — czego dziś może żałuje, gdy je potraciła. Z rodziną także, z bratem i siostrą zerwała.

— No, a mnie się do siebie dozwoliła zbliżyć — przerwał Aureli.

— Co nie dowodzi, ażeby jutro ci drzwi nie zamknęła — dokończył Niedrażewski.

Żabiec dalej ciągnął spowiedź z tych fatalizmów, które go spotykały... przyznał się do wygranej, która stała się osią nowego zwrotu, na ostatek do wrażenia, jakie na nim uczyniła śmierć matki hrabiny Eleonory i wiadomość o niebezpiecznej chorobie jej męża, dogorywającego w Meran.

Ale epilogu tego słuchający Niedrażewski wybuchnął wielkim śmiechem naprzód, a zobaczywszy, że on zrobił na Aurelim wrażenie przykre, pobiegł go uściskać, przepraszając.

— Aureli mój drogi — rzekł — co się tyczy tego kochanego hrabiego, męża twojej Eleonory i samej pani... widzę, że muszę ci grubą zasłonę zedrzeć z oczów i uczynić przykrość wielką — ale ty zupełnie masz fałszywe pojęcia, naprzód o pięknej Eleonorze... potem o jej mężu, a na ostatek o jego niebezpiecznej chorobie, z której on uleczony zostanie, jak tylko uzna to dla siebie korzystnem...

Zabiec padł na kanapę milczący, gotów słuchać. Znał p. Wincentego i wiedział, że tam, gdzie on zajrzał do głębi, napewno jego wzrokowi i sądowi można było zawierzyć.

— Naprzód co do uroczej Eleonory... — mówił przyjaciel. — Nie zaprzeczam, że byłeś jej pierwszą miłością, może najstalszą, może najsilniejszą, ale nie — jedyną — przepraszam cię. Ona potrzebowała także być kochaną, a męża dostała tak zimno obrachowanego komedjanta, że się jej dziwić nie można.... Tylko, kochany Aureli... nie łudź się tem, iż ona dla ciebie tylko żyje.... Znam co najmniej trzech jej wielbicieli, którzy tem samem żyją złudzeniem, a — gdyby hrabia umarł — co nie nastąpi tak rychło, hr. Eleonora z pewnością pod tego miłość się schroni, który będzie najbliżej i wyprzedzi innych.... Nie można jej tego mieć za złe, nie jest to przewrotność ale słabość.... Co się tyczy choroby hrabiego, suchot itp. — farsa to i komedja — nic więcej.

Obie strony na tem ożenieniu strasznie się zawiodły, hrabina matka i pan hrabia....

Mąż Eleonory majątkowo jeszcze nie zły by był zrobił interes, ale sądził, że będzie tu panem, a matka nic z rąk puścić nie chciała dopóki żyła. Zrujnowany, znudzony sentymentalizmem żony, dokuczliwością matki, nie chcąc w kraju odgrywać roli lada jakiej, wolał wziąć na siebie — suchoty... i udaje, że dogorywa... Zmuszał tym sposobem do posyłania sobie pieniędzy i odzyskał swobodę.

Wiem bardzo dobrze. iż siedząc w Meran, robił ztąd potajemne wycieczki do Włoch, do Wiednia i zabawiał się jak najlepiej. Czy żona wie o tem, że była i jest oszukiwaną, — nie wiem. to pewna, że teraz po śmierci matki, jeżeli hrabia wyrachuje, iż korzystniej mu będzie powrócić do kraju, zjawi się uzdrowiony, jako żywy dowód tego co może winogronowa kuracja... i górskie powietrze....

Aureli milczał — dowiadując się rzeczy, o których dotąd nie miał pojęcia....

Niedrażewskiego znając nie mógł powątpiewać, że mówi prawdę, i że zdrowo sądzi o rzeczach — spadał więc z wysokości marzeń — na ziemię... Cały gmach dotąd budowany... runął...

Milczał, osłupiały. Pan Wincenty uśmiechał się i starał pocieszać...

— Powtarzam ci — dodał — hrabia jest zupełnie zdrów, przeżyje ją i nas obu... zatem marzenia szczęścia na imaginacyjnych suchotach oparte, trzeba się wyrzec... a co się tyczy serca Eleonory... a! kochany Aureli... tam także z pewnością nie ty jeden masz zapewnione prawo pierwszeństwa... Nie chcę cię truć opowiadaniami... możesz mi wierzyć!...

Był to grom, który spadał na Aurelego, na chwilę zupełnie mu odejmując siłę.

— Z tem wszystkiem — mówił dalej Niedrażewski — pomimo chybionych rachub, nie widzę, abyś się bardzo zaawanturował... Jesteś swobodnym, niezwiązanym niczem... Możesz sobie nie-

zależną przyszłość zapewnić, jeżeli ci się powodzić będzie z dzierżawą, a potrafisz się wyrzec miasta...

Nie licz tylko, proszę, ani na ciotkę, ani na hrabinę, ani na suchoty jej męża... tylko na siebie jednego i na los, który zdaje ci się nareszcie uśmiechać.

Taki koniec, jaki nas obu spotyka, był nieunikniony... jeżeli niezbyt tragicznie wypadnie akt ostatni, można sobie powinszować.

Człowiek potrzebuje w życiu koniecznie jakiegoś celu, zadania, a choćby ono było jak najskromniejszych rozmiarów, jeżeli potrafi go zająć, pochłonąć, roznamiętnić — to dosyć... Myśmy oba chybili tem, żeśmy *intermezzo* wzięli za sam dramat życia... i zapóźno się na tem poznali...

Tak samo, jak zajęcia, potrzebuje też człowiek kogoś do kochania, kogoś, z kimby się dzielił myślą i sercem.

Myśmy nasze serca trzymali dla wszystkich otworem jak gospody zajezdne. Zajeżdżał do nich kto chciał na popas i nocleg... Teraz gdy gospoda w ruinie... pustka... wróble na dachu... podróżni szukają nowego zajazdu...

— Ba! — westchnął pogrążony w sobie Aureli — panna Salomea bardzo nie w porę zadzwoniła... dramat byłby już skończony...

— Bądź spokojny — odparł Wincenty — skończy się on i tak prędko... doszedłeś jak ja do epilogu! Tymczasem gdyś miał odwagę nieco przedłużyć zakończenie, nie psuj go... kóż wie

może potrafisz... nowe rozpocząć życie. co przy doświadczeniu nabytem... mogłoby ci się poszczęścić.

Rozśmiał się Zabiec.

— Ty! wierzysz w doświadczenie! — przerwał — ono służy dla filozofów, ani słowa, ale w życiu — nigdy... cudze ani własne nawet... Dmuchamy na zimne sparzywszy się, tylko dopóki oparzelina boli, jutro parzymy się znowu.

Powiadam ci, panna Salomea — niech ją porwią kaci — przyszła zawcześnie.

Westchnął.

— Najwięcej mnie boli to co mówisz o Eleonorze... trudno mi się rozbratać z tą myślą, że mnie kochała...

— I nie masz potrzeby się wspomnienia tego wyrzekać — dodał Niedrażewski — tylko nie sądź ażebyś był jedynym...

— Dla czegoż ona w mojem życiu była tą jedyną? — szepnął Aureli.

— Jesteś tego pewnym? — zapytał przyjaciel z uśmiechem.

— Niestety! bawiły mnie wszystkie, kochałem tę jedną... Dla czego? tego nie umiem powiedzieć! — dokończył Aureli.

Zamilkli, Niedrażewski ostyglejszy filozofował...

— Wierz mi — rzekł zapalając cygaro — spokojne wegetowanie bierne, ma także urok, dopóki w człowieku myśl nie umarła. Ja sam sobie się przypatrując, łając siebie i podziwiając głup-

stwa i słabości, bawię się wcale znośnie. Tylko już nie wejdę w szranki; tyś młodszy...

Rozum do niczego nie służy człowiekowi, oprócz żeby wskazywał mu, iż można sądzić drugich i siebie bardzo trafnie, a co krok robić omyłki. Ja — śmieję się i ostygłem na wszystko...

— Radbym dojść do tej doskonałości, ale nie mam twojej ciekawości spektatora...

Tak rozpoczęta rozmowa, która w początkach rozdrażniła Aurelego, powoli ukołysała go... rozerwała, ze zwykłą lekkomyślnością dla chwili obecnej zapomniał o jutrze...

Niedrażewski śmiał się ze wszystkiego...

Nazajutrz — dał się namówić Aurelemu i pojechał z nim obejrzeć ową dzierżawę i cegielnię, przyszłą Syberję przyjaciela...

Nie pozostawiała ona nic do życzenia jako warstat do torturowania zepsutego i rozpieszczonego człowieka. Około niej pustki były do koła, ani ludzi, ani życia...

Ogromne majątki pańskie, administrowane przez ekonomów opasywały ją do koła... Dwór był zrujnowany, ogród zdziczały, budowle w najsmutniejszym stanie; milczenie grobowe, ludność jakby na pół uśpiona i bezczynna a zubożała — nigdzie życia... Trzeba było wielkiej potęgi ducha i miłości pracy, aby tu rozbudzić i ruch jakiś wzniecić... Tego trudno się było spodziewać po panu Aurelim. On sam nie czuł się zdolnym i rozpaczał.

Obchodzili do koła, śledzeni podejrzliwemi oczyma przez ludność miejscową, która zapytywana salwowała się ucieczką... Ci, których spotykali, widocznie się stawili nieprzyjacielsko i niechętnie — niechcąc dać objaśnień lub zastraszając najdziwniejszemi pogróżkami. Nie było jednej twarzy, któraby obudzała sympatję lub zaufanie... Aureli miał przed sobą walkę, przeciw sobie całą koalicję, w sobie niedołęztwo i nieporadność.

Nawet usiłujący mu dodać otuchy Niedrażewski milczał, bo rzeczywistość przedstawiała się przerażająco rozpaczliwą. Silna wola, doświadczenie, zimna krew, energiczny charakter ledwieby podołać mogły trudnościom — Aureli wiedział dobrze, iż to przechodzi jego siły—śmiał się z coraz większą goryczą.

Co krok rozbijali się o nowy jakiś zawód — a nawet tymczasowo, gdyby nie koszyk wzięty z Warszawy, nie mieliby co jeść ani pić, bo woda w studni dla bydła tylko i do prania służyła, a ze wsi z jedynego źródła nie było komu przynieść.

Zastępująca ekonomowę, z kwaśną miną ofiarowała pięć jaj twardych i kawałek czerstwego chleba.

— Mam do wyboru — mówił z gorzką, ironją Żabiec do przyjaciela — albo nauczyć się pleść koszyki, lub kupić fortepian i grać exercycje Clementiego, naostatek postarać się o nową flaszeczkę strychniny, zapewniwszy, że Salusia tu nie przyjedzie...

— Dobrze mi tak chciałem się pochwalić

przed staremi babami siłą charakteru i zrobiłem kolosalne głupstwo, którego przez lat kilka wydychać nie potrafię.

Zadumany Aureli nie kończył, bo mu najdziksze myśli przychodziły, a p. Wincenty milczał, bo nie widział dziś wyjścia... Milczenie to mówiło: Tak, przyjacielu... zrobiło się głupstwo — myśl, jak z niego wyjdziesz...

Po trzy i cztery razy na dzień jeden i drugi coś projektował i — okazywało się, że się to na nic nie zdało. W Warszawie, ci co znali majątek, powiadali otwarcie, że na nim dobrzy gospodarze tracili, dochód był za wysoko otaksowany, więc czego się mógł spodziewać Aureli.

Pocieszał się tem, że to były pieniądze wygrane, ale zmarnować je w tak smutny sposób, nawet się nie pobawiwszy...

— Bądź co bądź! — rzekł w końcu po cichu Żabiec do przyjaciela — honor potrzeba ocalić... Będę siedział na wsi, ziewał, tracił i kłamał, że robię fortunę, a tymczasem los mi nastręczy jakieś wyjście... albo...

— Tak, należy *faire bonne mine a mauvais jeu*, — kończył Niedrażewski. — Na pociechę po całych nocach przypominali sobie śmiejąc się te dobre czasy, za które oba odprawili pokutę, a których całą próżnię i czczość czuli teraz...

Niedrażewski mający przynieść z sobą pociechę, w istocie odjął ostatnią, bo wcale inaczej odmalował Aurelemu Eleonorę i hrabiego. Wszelkie

nadzieje na tych mrzonkach osnute, rozwiały się w nicość. — Rozstali się w końcu...

Po wyjeździe przyjaciela Zabiec poszedł z pożegnaniem i nie pominął hrabiny, która wyszła do niego jak zawsze, z Brunonkiem, była uprzejmą, grzeczną, ale zimniejszą mu się wydała... Zapytana o hrabiego, odpowiedziała zakłopotana, że podobno miał się lepiej i obiecywał przybycie.

Wprost od niej udał się do Winnickiej, u której od dość dawna nie był.

— Przyszedłem panią dobrodziejkę pożegnać — odezwał się nadrabiając humorem — na ostatek potrzeba sobie stryczek na szyję założyć i rozpocząć pokutę. Czy ona będzie skuteczną, czy się nie okaże spóźnioną — nie wiem; zawsze pani winienem pierwszą do niej pobudkę. To pewna, że gdyśmy z Niedrażewskim pojechali na grunt zobaczyć teatr przyszłych moich czynów bohaterskich — mróz po nas przeszedł... Co mnie tam czeka, tego nie miałem wyobrażenia...

Winnicka usiadła przy nim...

— Cóż tam tak strasznego? — zapytała — nie przesadzaj... — Coście znaleźli?

— Pustynię i grobową ciszę.

— A w sobie nie masz zasobów, aby ją ożywić?

Aureli zrobił minę pokorną.

— Nie pochlebiam sobie...

— Bez ludzi w istocie żyć nie można — przerwała Winnicka — i tego pan od siebie wymagać nie możesz, ani ktokolwiekbądź... ale i ludzie się,

poszukawszy, znajdą i w niedostatku ich... książki.

— Ach! książki! — rozśmiał się niemal pogardliwie Aureli.

— Ja — przerwała starając się go rozerwać Winnicka—porównywam je do siana. Gdy zielonej paszy, to jest żywych ludzi, braknie, trzeba to siano jeść, aby nie umrzeć z głodu.

Porównanie dosyć oryginalne nie wywołało uśmiechu. Żabiec milczał z głową spuszczoną, nie czując, że stara ciotka usiłowała przez litość go zabawić, choć jej się też nie chciało śmiać, bo miała w sercu rozbudzające się współczucie dla siostrzeńca.

— Z waćpana, widzę, desperat... — dodała ciszej.

Aureli podniósł oczy i nastroił się do przymuszonej wesołości.

Niepewność, która go dręczyła, niepokój i niezgoda z samym sobą wprawiały go w rodzaj gorączki. Czuł, że własnym losem nie władał, a upokarzało go to do najwyższego stopnia, że okoliczności zmuszały go ulegać takim wpływom, jak naprzykład Salusi, jak Winnickiej — których nie uznawał wagi i znaczenia.

Bił się ciągle z sobą. — Chwilami gotów był wyrzec się wszystkiego, powrócić na Mokotowską ulicę, żyć po dawnemu i zdać dzierżawę na lada kogo — ale wstyd mu było zawracać się z drogi. Musiał więc jechać na wieś, bez ochoty, bez przekonania, bez nadziei, aby się to na co zdało. Hra-

bina Eleonora, po otworzeniu mu oczów przez Niedrażewskiego, już go tylko zajmowała jako wspomnienie miłe...

Winnicka na wsi doradzała mu książki!! Ruszał ramionami... Dla dzieci, dla młodzieży, rozumiał ich użytek — ale dorosłym zabawiać się niemi? tego nie pojmował.

Na kilka pytań ciotki odpowiedział z takiem roztargnieniem, iż się sam wstydzić musiał, uderzyło go to, że Winnicka trochę więcej, trochę jawniej okazywała mu współczucie i troskliwość o niego, ale brał to za prostą grzeczność z jej strony.

Wstał aby się pożegnać i nie zdradzić ze stanem duszy — chociaż sam nie wiedział jeszcze czy wyjedzie. Znowu flaszeczka i rewolwer nastręczały się jako jedyne lekarstwo. Co miał zyskać na przeciągnieniu? Od życia nie było się już czego spodziewać... Nie miał nikogo na świecie i nikomu potrzebnym nie był. Wiedział że najlepszy nawet przyjaciel Niedrażewski, gdyby się dowiedział, iż umarł, po kilku dniach jużby się z tą myślą pogodził... a może mu zazdrościł spokoju.

Tego stanu ducha, na jaki go położenie naraziło, odmalować trudno. W ciągu dnia zmieniały się postanowienia niewiedzieć wiele razy. — Jechał, pozostawał — szedł do aptekarza, zawracał się niedoszedłszy... śmiał się, gniewał — rozpaczał.

Na Mokotowskiej ulicy nie było już na czem usiąść, ani się na czem wygodnie położyć. Jedna pożyczona kanapka zastępowała wszystko.

Drugiego czy trzeciego dnia, prawie bezmyślnie zaszedł znowu do Winnickiej i dopiero się tu znalazłszy, postrzegł, że wyglądał na natręta albo na potrzebującego pomocy...

Ale ciotka nie zdawała mu się tego brać za złe, owszem witała go bardzo uprzejmie, dowiadując się tylko co ostatecznie postanowił — czy nie obmyślił co nowego. Widać było po niej, że śledziła pilno każde jego poruszenie, każde słowo.

Litowała się nad słabością tego wykolejonego biedaka, który tak jawnie zdradzał się z tem, że sobie rady dać nie umiał.

Pocieszała go jak mogła...

— Zwroty w życiu stanowcze — mówiła mu spokojnie, starając się też spokój ten przelać w niego. zwroty takie zawsze człowieka wiele kosztują. Im prędzej i śmielej się dokonywają tem lepiej... Waćpan nie masz odwagi rzucić się w wodę, obawiając, aby nie była za zimna, a marzniesz na powietrzu..

— Wszystko to prawda — odpowiedział Zabiec. Ja sobie daleko surowsze robię wymówki — ale co to pomoże, kiedy męztwa nie ma? Nie przechwalam się niem, bom go wyrobić nie umiał...

— Więc — z wyjazdem? co postanowiłeś pan? kiedy? — wypytywała Winnicka.

— Właśnie że jeszcze... nic nie wiem... — śmiał się ironicznie Aureli. Potrzebaby może jakiejś... interwencji sługi albo śmielszego jakiegoś musu, aby mnie popchnął. Ja jeszcze nawet za sam

wyjazd nie mogę ręczyć, chociaż został nieodwołalnie postanowiony i sprzęty już na wieś powędrowały.

Tymczasem — rzekł z naiwnością obudzającą politowanie — gdyby się kto znalazł co by mi dzierżawę tę odebrał, nawet ze stratą, zdaje mi się że bym mu ją oddał z radością...

— A potem? — spytała Winnicka.

— Albo ja wiem — rzekł Aureli — nie jest-że to stan politowania godny?

— Dobrowolna męczarnia — wtrąciła Winnicka ze współczuciem.

— Tak, męczarnia, ale nie dobrowolna, przerwał Żabiec poruszony okazaną mu sympatją. — Los nielitościwy rzuca mną i miota. Rozpoczął od upokarzającego zesłania mi panny Salomei, a skończył na ironicznem opatrzeniu mnie w pieniądze na drogę, których użyłem na zgotowanie sobie tortury...

— Dla mnie to najdziwniejsze — dodała Winnicka — starając się rozdrażnienie złagodzić, że waćpan to widzisz tak jasno. Sądzisz tak sprawiedliwie, a do czynu nie masz potrzebnej energji.

Aureli poruszył ramionami.

— Cóż temu winien człowiek, gdy nie może podnieść dwóchset funtów? — odparł z goryczą. — Mówią, że dzieci pokutują za rodziców winy: tak, jest coś we krwi. Ojciec mój przez całe życie na coś czekał i czegoś się spodziewał, nic nie robiąc... Nieudolność tę jego ja przejąłem w spuściźnie... pokutuję za grzech jego...

Zamilkła Winnicka, ale twarz jej sposępniała.

— Najłatwiej — rzekła — winy własne składać na drugich — ale w tem zaledwie jest odrobina prawdy... Już sam ten sąd jest oznaką słabości, na którą trzeba radzić nie narzekać... A że rada na nią jest — to pewna...

I pomilczawszy chwilę, zwróciła rozmowę z widoczną litością nad skazanym.

— Oddalenie się od Warszawy jest za małe — rzekła — że tego za pożegnanie i wyrzeczenie się nie można uważać. Będziesz pan mógł odwidzieć dawnych znajomych i utrzymać stosunki...

— W takim razie pocóż się było wynosić! — odparł Żabiec — nie wiele się zmieni, a nic nie zyska, oprócz że na bryczce trzęsącej po złej drodze będę musiał jechać do lichego hotelu — aby od nudnego uciec domu.

Wcale nie zrażając się temi wybrykami złego humoru, Winnicka okazywała się coraz czulszą dla niego... Zdawała się tylko wstrzymywać od zbytnich wzruszeń, jakby walczyła z sobą.

Tak było w istocie. Biedna, znękana kobieta, tyle w życiu doznawszy zawodów, ostygła i rozczarowana, coraz mocniej się przywiązywała do tego siostrzeńca, którego zaufanie, otwartość ujmowały ją. Ale się lękała cała oddać temu uczuciu, zająć jego losem, aby nowego nie doznać zawodu.

Aureli poruszył się dla ostatecznego pożegnania, które czulsze było z obu stron niż się spodzie-

wali. I on miał dla tej kobiety pewną wdzięczność, iż go nie odpędzała tak jak reszta rodziny. Winnicka zbliżyła się ku niemu i głosem łagodnym, serdecznym, starała się wlać pociechę i otuchę...

— A — nie zapominaj pan o mnie — dokończyła widocznie poruszona... — Proszę...

Nieśmiała dodać — jak o ciotce, ale już miała to przyznanie się na ustach. — Coraz skłonniejszą była w tym sierocie widzieć dla siebie przeznaczone dziecię...

Aureli wybiegł szepcząc w duchu...

— Lepsza ona przecie od wielu innych.

Tegoż samego dnia, gdy jeszcze błądził rzucając bilety, napadł na niego czatujący Barszewski. Jemu odjazd przyjaciela nastręczał doskonałą zręczność zaproszenia kilku osób na wieczór, które starał się przekonać, że Żabca wypuścić bez uroczystego pożegnania nie godziło się.

Wszyscy się na to zgadzali. Referendarz i Korjatowski, mnóstwo mniej wybitnych towarzyszów dawnego żywota... popierali tę myśl żywo...

Aureli zaproszony — mając powód opóźnienia wyjazdu, podziękował, ale — przyjął... Zyskiwał na tem dni parę.

Zrazu Barszewski myślał o bardzo skromnym wieczorku u siebie, ale drudzy chcieli mieć także czynny udział w uznaniu zasług tego człowieka, który tyle wieczerzy i objadów dysponował dla nich i zjadł z nimi. Stanęło tedy na wieczerzy składkowej w resursie. Kilku jednak „śmielszej

natury“ głosowało za przybraniem dla ożywienia — teatralnych żeńskich znajomości, a te w resursie nie mogły się pokazać same... — resursę więc zmieniono na pierwszorzędną restaurację.

Liczba osób mających uczestniczyć w pożegnaniu wzrastała, z nią razem i rozmiary uczty, która do zbytku skromną być nie mogła. Wymagało to parę dni przygotowań, odłożono — a Aureli spał na kanapce i chodził po pustych pokojach. Gniewało go w końcu i uroczyste żegnanie, gdyż zmuszało do wyjazdu. Kości były rzucone... Pożegnany musiał się oddalić.

Z dnia na dzień tak zwłócząc ukazał się znowu u ciotki.

Sam nie wiedział jak tam zaszedł — wstydzi się, począł tłumaczyć, ale Winnicka przyjęła go z niekłamaną radością...

Za każdym razem obchodziła się z nim poufalej, a tego dnia... miała niemal łzy w oczach.

— Aż mi wstyd — odezwała się w końcu do niego. — Tyle w życiu doznałam zawodów od ludzi, serce już dla nich zamknęłam — od rodziny nawet odłączyłam się zupełnie, a waćpan, panie Aureli, poruszyłeś we mnie jakieś fibry... zdrętwiałe...

Nie może to być tylko skutkiem tego, że waćpan nie kłamiesz uczucia — i że masz w gruncie serce poczciwe. Szczerze mi was żal!

Tu głos jej zadrżał, spuściła oczy, jakby zasromana... i nieśmiało dodała:

— Waćpan, jak ja, nie masz na świecie nikogo... — a przecież nas dwoje węzeł krwi łączy... Uważaj-że mnie nie za obcą od dzisiejszego dnia ale za krewną, za ciotkę najbliższą..

Może ja się wam przydam na co, a wy mnie bardzo, bo przez was do życia i świata powrócę, których się wyrzec musiałam. Wszyscy, ktokolwiek się do mnie zbliżył, byli interesowani, waćpan nic nie wymagając okazałeś mi współczucie... Niech-że ja mu się wywdzięczę...

Wyrazy te drżącym głosem wyrzeczone, nieśmiało — podziałały na Żabca można powiedzieć cudownie. — Słuchał ich naprzód zdumiony, zdając się nie wierzyć uszom — potem mu się zmieniło oblicze, zbladł, zaczerwienił się, oczy się zapaliły — położył rękę na sercu, chciał mówić i nie mógł. Złożył tylko ręce przed Winnicką i szeptał:

— A! dobrodziejko moja — życie, życie mi przywracasz! — Jest-że to prawdą? Miałżebym ja w istocie pozyskać w tobie współczucie, opiekę, rodzinę,.. ja więcej nic, nic nie potrzebuję, tylko aby się do kogoś, do czegoś przywiązać...

Przykląkł przed nią.

— Na Boga! ciągnął dalej z exaltacją, której nie był panem. — Nie miejcie o mnie fałszywego pojęcia — nic, nic nie potrzebuję, wszystko gotów jestem poświęcić, byle mnie ktoś przyznał za swego, bylem sam tak zaparty na świecie nie został... Całem życiem wam za to będę się odsłu-

giwał... To dobre słowo wasze uratowało mnie, jest dla mnie zbawcze...

Czuję się odrodzonym, nie jestem sam... Teraz znajdę w sobie siły, aby się przemęczyć na wsi, wziąć do pracy... zdolny jestem do wszystkiego co mi każecie.

Zmienił się tak nagle, że Winnicka patrząc na niego, widząc, jakiego cudu dokazała... uczuła się szczęśliwą.

— Panie Aureli, poczęła mówić — kochany siostrzeńcze... — wierz mi — że to pierwsza chwila od straty moich dzieci, w której się czuję na świecie potrzebną i życia znowu pragnę... Ufaj mi... nie jestem egoistką... alem i ja, jak ty potrzebowała serca, uczucia... a karmiono mnie kłamanemi grzecznościami.

Niech mówią co chcą na starą Winnickę, przekonasz się, że ona kochać umie i to ją czyniło nieszczęśliwą, że jej poczciwie nikt kochać nie chciał.

Aureli całował ją po rękach rozpromieniony...

Stała się tedy rzecz cudowna... Jedno słowo, które się Winnickiej wyrwało z serca, zmieniło człowieka, zatrzymało go na skraju przepaści, gdy już o życiu zwątpił — odrodziło go. .

— Pojadę teraz na wieś z ochotą — zawołał. Wszystko co los zrządził, dobrze się stało... Dzierżawa ta była potrzebną. Muszę się zrehabilitować i okazać, żeś, kochana ciotko, nie zupełnie niegodnego ocaliła. Jedno twe słowo serdeczne dokazało tego...

Winnicka się rozpłakała.

Było coś tak dziwnego w tem nagłem nawróceniu grzesznika, iż ani ciotka, ani siostrzeniec długo się upamiętać nie mogli.

Aureli chciał odejść, nie puściła go Winnicka.

— Siadaj, — rzekła — stosunek się nasz zmienił, nie jesteś już panem Aurelim, ale moim rodzonym siostrzeńcem, sprawy twoje i interesa uważam za swoje własne i chcę zarówno abyś o moich wiedział dokładnie...

Żabiec począł ją po rękach całować.

— Nie, nie — zawołał błagająco...— Niech się żadna rachuba w to nie mięsza... proszę.— Onaby mi popsuła wszystko — pozwólcie mi, abym ja się dał poznać wam lepiej. Nie będę potrzebował się wstydzić, potrafię z sobą zrobić co zechcę, bo mam cel... Rodzinie, wam, wstydu nie zrobię, za zmarnowaną młodość zapłacę.

Będę niedaleko, więc łatwo mi przyjdzie zdawać sprawę z moich czynności i radzić się. Jadę jak najprędzej...

Teraz już, uroczyste pożegnanie, uczta, ciążyły Aurelemu, ale za stare grzechy musiał je przyjąć i stawić się, choć mu pilno było do dzierżawy, tak jak niedawno chciał zwlec jej przyjęcie.

Do późnego wieczora pozostał u ciotki, i wyszedł od niej upojony, przejęty wdzięcznością.

Nazajutrz w ulicy spotkał się idąc z Salusią, która starała się go uniknąć, ale sam podszedł do niej.

— Panno Salomeo — rzekł — proszę się nie gniewać na mnie. Jestem jej istotnie wdzięczen za dobre chęci dla mnie... Nie wiedząc o tem, byłaś palcem opatrzności. Wszystko dobrze, jadę na wieś... z ciotką jesteśmy jak rodzina być powinna, czuję się odrodzonym. Bóg zapłać!

Salusia sądziła, że żartuje.

— Cóż to znowu za nowina — zapytała...

— Winnicka jest najzacniejszą kobietą w świecie — dodał Żabiec — a ja będę się starał okazać godnym jej łaski...

— Cóż ona zrobiła panu? — zapytała naiwnie Salomea.

— Jak-to? nazywa mnie siostrzeńcem, mam rodzinę, więcej nie potrzebuję — odparł oburzony Aureli — niech Bóg broni, aby co robić dla mnie chciała więcej. Tego starczy...

I spiesznie odszedł zostawiając zdumioną Salusię, która nie wiedziała już co myśleć.

Uroczyste pożegnanie nieuniknione, odbyło się z wielkiem współczuciem dla Aurelego, ale on — co przypisywano rozstaniu — pozostał sztywnym i zastygłym, w ciągu jego dziękował, kłaniał się kładł rękę na sercu, ale uśmiechał się z przymusem i widocznie go to męczyło...

Ubolewano nad nim, gdy on w duszy się cieszył...

Wszelka niepewność dla niego ustała, wiedział dokąd idzie, i cudem czuł w sobie siłę, nie wątpił że trudności pokona.

Zniknął potem z horyzontu i ani słychu już o nim nie było, a że się naderłatwo o ludziach zapomina, — pamięć o nim zatarła się bardzo prędko.

Do Winnickiej pisywał krótkie listy, zjawił się parę razy sam, ale nikomu więcej się nie pokazywał...

Zaintrygowana niezmiernie tem panna Salomea napróżno się coś więcej od innych dowiedzieć starała... Wsuwała się do Winnickiej próbując coś z niej wydobyć. Ciotka jej odpowiadała wesoło... — Pracuje, gospodaruje... Ale nic więcej...

Upłynęło dobrych kilka miesięcy, gdy raz powracając z kościoła, panna Salomea, która teraz niezmiernie się stała pobożną, spotkała w ulicy Rzepskiego.

Z początku go niepoznała, nie była pewną czy to on jest, bo po wiejsku był ubrany i lepiej wyglądał, ale w końcu, gdy się uśmiechnął, podeszła.

— Na rany Chrystusowe — zmiłuj się człowiecze, co się z wami dzieje. Wiesz przecie, jak mnie Aureli obchodzi — i że mnie, mogę powiedzieć, życie winien, żeby też będąc w mieście nie zajść, nie powiedzieć co się z wami stało! jak idzie?? co robicie?

Rzepski nie był wymowny w ogóle, z niego się chcąc coś dowiedzieć, potrzeba było jak z kądzieli nitkę, dobywać z mozołem każdą wiadomostkę.

Salusia go pochwyciła...

— Chodź... Zafunduję waćpanu herbaty z rumem, — powiedz mi o nim, o sobie, o gospodarstwie...

— Za herbatę z rumem — nie! — krótko odparł głową potrząsając Rzepski.

— No to, cóż?

— Jeżeli już łaska... no to chleba z masłem i kufel piwa... — odparł Rzepski...

Panna Salomea wprowadziła go do poblizkiego ogródka, siedli w kątku. Kazała podać co chciał z dodatkiem szynki. Rzepski jadł tęgo ale milczał. Siedział pogrążony w myślach, jakby o pannie Salomei zapomniał... nagle obejrzał się, zobaczył ją — i westchnął.

— Mów-że bo — zawołała, zbliżając się i przynaglając, co się z nim, co się u was dzieje? nikogo nie widać...

Rzepski, pomilczawszy trochę, rozśmiał się.

— Co się u nas dzieje!? hę! Ja, co na to patrzę, nie rozumiem, a panna Salomea by chciała z tego, co ja powiem, się coś dowiedzieć. Ja pannie powiadam, że tego i djabeł nie zrozumie... To dość.

— Ale, czegoż? co? co się dzieje? — wołała zniecierpliwiona stara panna, bijąc się rękami po kolanach. — Mów waćpan porządnie...

— Cóż będę mówił? — zamruczał Rzepski. — Co! Panna wie! ja go na rękach nosiłem, kiedy był mały, patrzałem, jak rósł, nie odstępo-

wałem, biedę i hulanki z nim przetrwałem... a tu naraz! wie panna co? Ja go nie znam! Zacny człowiek! Jak Boga kocham...

Zamilkł zamyślony.

— W czemże-się odmienił?

— W czem? we wszystkiem! — odparł Rzepski. — Ja go nie znam! patrzę się i głupieję!

— A waćpana słuchając, zgłupieć można — wtrąciła zniecierpliwiona stara panna. — Mów bo porządnie...

Rzepski się zadumał, jakby chciał myśli pozbierać.

— Ot, jak było — począł — pojechaliśmy na wieś, do tej dzierżawy, do Maczek... Pustka, powiadam pannie, ruina... strach... Dzierżawca ćwieczki ze ścian powyrywał... Spiżarnia pusta, ludzie jak wilcy... Wody poczciwej żeby się napić, nie było, wiadra żeby przynieść — no, nic... A panna wiesz, co to był za gagatek... Myślałem, on tu z głodu zdechnie, albo na drugi dzień ucieczе... Słuchaj-że... On, któremu wszystko dawniej złe było... tu panie, na razowym chlebie czerstwym, na kartoflach... bez kieliszka wina... od rana do nocy na nogach... w polu, w oborze... pracuje jak wół...

— Cóż mu się stało? — zawołała, żegnając się, panna Salomea.

— Otóż ja się pytam — dodał stary — co mu się stało? i jak może człowiek, co lat trzydzieści innym był, nagle ze skóry wyleźć... Stary

jestem, myślałem, że już się niczemu dziwić nie będę.

Ruszył ramionami. Salomea milczała.

— Myślicie, że wytrzyma? — spytała.

— Cóż ja teraz mam myśleć! — zawołał Rzepski, łapczywie chleb jedząc i piwo popijając. Ja już za nic nie ręczę, i głupi jestem — głupi jestem.

— Ale cóż mu się to stało? dla czego on to robi — poczęła panna....

— To też dla mnie zagadka — rzekł Rzepski. Milczeli czas jakiś — Rzepskiemu się na ochotę zwierzania zebrało, i nie pytany począł.

— Inny się człowiek zrobił.... Panna go też znała.... Gębę miał popsutą, pieścił się, bywało z łóżka go ściągnąć trudno, tak leniwym był — a teraz... Ledwie na brzask, ten już wstaje, budzi — nie wziąwszy nic do gęby, wybiega; w każdy kąt zajrzy.

Niechże panna i to miarkuje, że on o gospodarstwie nie miał pojęcia, nigdy się tego nie dotykał, nie rozumiał, ani be ani me; ale to taka bestja..., że czego nie wie, to się, gdy chce, domyśli, nauczy nie wiedzieć z czego. Dosyć mu popatrzeć, a ludzi z przełaja popytać, podsłuchać. Z początku nasz ekonom ramionami ruszał i śmiał się, a teraz głową pokręca. Jego ani okłamać, ani oszukać....

Stara panna spuściwszy głowę, milczała.

— Kiedy człowiek tak się weźmie do pracy

— odezwała się po chwili — to juści musi mieć do tego powód... nie darmo.... Cóż to znaczy? dla kogo on to robi? dla czego?

— Otóż to jest sęk — rzekł Rzepski. — Nie rozumiem....

— Jeździł choć raz do Warszawy? — spytała ciekawa Salomea.

— Był coś dwa czy trzy razy, ale krótko i to dla pokupek, bo on teraz sam chce wszystko robić i na nikogo się nie spuszcza — mówił stary sługa, — w domu, oprócz tego cośmy z Mokotowskiej przynieśli, nie było nic, a to co z nami przyszło, tu się na nic nie zdało. Wszystko musieliśmy kupować... ale co prostsze rzeczy, to po jarmarkach i po miasteczkach kupował, aby taniej.... Teraz już dom się zaopatrzył, ale z prosta... ani by się domyśleć, że on kiedyś elegantem był i wszystko mu śmierdziało, co nie modne....

— A jakże on sam? chmurny? zły? — wtrąciła Salomea.

— Mnie się zdawało też, że on się tu zakwasi, jak dziecko na pokucie w kącie, a nieprawda... Bywało, lada za co się mnie dostawało, choć staremu, że i kuksnął i połajał, a teraz? zkąd mu ta cierpliwość? nie wiem. Niech panna tylko miarkuje — dodał Rzepski, palec przykładając do czoła — na Mokotowskiej do łóżka mu było trzeba jego herbatę albo czekoladę przynieść i to żeby była gorąca, a do niej nie co innego tylko co zadysponował; a jak mu grzanka była za

gruba, to nią ciskał. Teraz co mu dać, wszystko dobre, a jak się spóźni, także słowa nie powie. Objad gotuje baba, ale powiadam pannie Salomei, często tak nawarzy, że mnie przez gardło nie przechodzi, on siądzie, popatrzy, uśmiechnie się i palantuje. A — żeby pisnął! śmieje się. Popatrzy mi w oczy. Co, Rzepski — nieprawdaż? Teresa gotuje co się zowie, jakby na pół dla psa, a pół dla siebie, ale w Maczkach i to smakuje.

Salomea się zamyśliła.

— Cóż on, chce tak na gwałt pieniędzy się dorobić, czy co? — spytała.

— Może — odparł Rzepski — bo się rachuje szczelnie. Dawniej, co u niego znaczył rubęl? nosił w kieszeni co miał i garściami z niej wyjmował. Oho! teraz... dziesiatkę ogląda na wszystkie strony nim wypuści...

— Żyje on tam z kim? — spytała stara panna. — Przywykły był do ludzi. Macie sąsiadów?

— Żywej duszy, ekonomowie tylko, ale z nimi nie mamy stosunków, tylko tyle co konieczne — rzekł Rzepski. — Na co mu ludzi teraz? od rana do nocy za domem, w polu, około robotników, a gdy powróci, potrzebuje odpocząć, no, i rejestra niektóre sam pisze...

Wstała z krzesła panna Salomea.

— To nie może być! — zawołała, — waćpan sobie ze mnie drwisz! Gdzie to słyszana rzecz...

Śmiać się zaczął Rzepski.

— Gdyby mnie kto to powiadał — rzekł — i jabym nie wierzył, ale się patrzę codzień..

— To nie potrwa! — zawołała Salomea — Porwał się, ale...

— Ale już blisko pół roku — rzekł Rzepski.

Nie chąc puścić jeszcze Rzepskiego, który już się wybierał uciekać i kręcił się niespokojny—Salomea piwa podać kazała, a stary dał się skusić i siadł uśmiechając się ze zdumienia, które się na jej twarzy malowało.

— Wie panna jeszcze jedną osobliwość? — odezwał się z tajemniczą miną.

— Cóż takiego?

— Winnicka u nas była dwa razy... — szepnął stary.

Ruszyła ramionami słuchająca.

— Swiat przewrócony — rzekła... Winnicka znać go nie chciała — ze swojemi żyć nie mogła, z bratem się rozeszła, z siostrą się poróżniła... a tu nagle...

Pogładził się po głowie stary sługa.

— Jabym się temu tak bardzo nie dziwił — rzekł — bo on kiedy chce... oczaruje każdego, ale jako żywo się jej nie przypochlebia, ani udaje nic... tylko jakaś czułość się w nim dla ciotki zrodziła, a w niej też serce urosło... Dawniej bywało mówi... pani Winnicka, albo ta Winnicka... teraz ciocia... a to mało, że koło niej tańcuje gdy przy niej jest, ale o niej myśli... o niej mówi...

Ruszył ramionami.

— Musiała mu dać pieniędzy — zawołała Salomea.

— Otóż nic, ani grosza!! wiem na pewno!— krzyknął Rzepski. Próbowała — prawda — ale odesłał nazad... nie przyjął.

Milczeli chwilę, aż złośliwa stara panna. z kwaśnym uśmieszkiem wtrąciła:

— Nie bój się. ma rozum!! nie wziął mało, bo mu się chce wszystko dostać.

Rzepski zakrztusił się piwem i porwał oburzony.

— Panna Salomea go nie zna! nie! a i ja nie mogę powiedzieć, żebym go znał dawniej... W tym człowieku. co najmniej, dwu ludzi... Tak się zmienić!! Ja już teraz za nic nie ręczę...

Zamilczała zmięszana stara panna.

— Więc aż dwa razy przyjeżdżała Winnicka —odezwała się.., — Cóż! oglądała gospodarstwo?

— Nie — ale on zachorował był jakoś i musiał się położyć, a ona się o tem dowiedziała przez Marcinowskę...

— Jaką Marcinowskę? — pytała żywo Salomea.

— To panna nie zna Marcinowskiej? — podchwycił Rzepski. — Marcinowska służyła dawniej u Winnickiej, a ta nam ją zarekomendowała...

Salusia gorzko się śmiać poczęła...

— Oczewista rzecz — chciała mieć szpiega ze swojej ręki w Maczkach...

— Co to bo zaraz mówić — szpiega — ofuknął. — Każdy kto kogo kocha, radby wiedzieć co się dzieje z tym, do którego się przywiązał, a Marcinowska najzacniejsza kobieta... — dodał Rzepski i co do gospodarstwa i apteczki chyba nie ma równej.

Pannie Salomei pochwały te niezmiernie były przykre.

— Więc cóż — przerwała kwaśno. — wróćmy do tego o czem była mowa — on zachorował... i —

— Winnicka z doktorem przyjechała.. — dodał Rzepski...

— Taka teraz czułość !— uśmiechnęła się panna Salomea. — Winszuję, winszuję cóż tu mówić więcej ?...

Tak się rozstali z Rzepskim i ciekawość panny Salomei została zaspokojona... Czuła się dumną tem, że jakkolwiekbądź, ona jednakże panu Aurelemu tę szczęśliwą przyszłość swem wystąpieniem przygotowała i była prawdziwem narzędziem opatrzności.

Opowiadanie starego sługi zgodne były z prawdą, chociaż dla tych co przez ciąg lat długi widzieli p. Aurelego tak innym — wydawało się to dziwnem, a niektórzy podejrzywali go o udawanie i komedją. Ale spotykający się z nim w Warszawie przyjaciele powoli przekonywali się, że w istocie innym się stał człowiekiem — mówili o nim, że podupadł, zardzewiał i zszedł na nic...

Przez litość zapraszali go na śniadanka — w których odmawiał udziału, na wesołe wieczorki, ale na te nie przychodził.

Niedrażewski zawitawszy także w parę miesięcy do Warszawy, gdy go tu nie znalazł, a dowiedzieć się dokładniej nic nie mógł o nim, sam się wybrał do Maczek — i więcej może niż inni został zdumiony tem co tu zastał.

Aureli ubrany po wiejsku, wyszedł naprzeciw niego z wesołą twarzą, ale od progu boleć zaczął, że go tu przyjąć nie potrafi.

— A! mój Wicku — śmiał się ściskając go... — gdybym choć na dwadzieścia cztery godziny wprzódy wiedział, że mnie nawiedzisz to byłbym się przygotował — a tak grozi ci w Maczkach śmierć głodowa.

— Ba! a ty! przecież żyjesz! — odparł p. Wincenty.

— A! ja! Ja, to co innego — rzekł Aureli. — Nie masz pojęcia co się ze mną zrobiło... Bardzo mało potrzebuję...

W czasie krótkiego pobytu, Niedrażewski wyjść nie mógł ze zdumienia, z sercem ściśniętem patrząc na zmianę życia i obyczajów Żabca i litując się nad nim, gdy on dowodził, że jemu z tem było dobrze.

— Przypomnij sobie, gdyśmy tu po raz pierwszy byli — widziałem cię niemal rozpaczającego.

— Od tej pory zaszła wielka i radykalna zmiana — odparł Aureli spokojnie. — Potrafiłem

w sobie przezwyciężyć starego człowieka, pogodziłem się z rzeczywistością. Jem co mi dają i do jednego tylko śmierdzącego mięsa nie mogę nawyknąć, zresztą znoszę nawet starą słoninę. Wstaję z rana, jeżdżę i chodzę po polach... Zaczęło mnie to zajmować... Nie mogę powiedzieć, żebym był szczęśliwy, ale nieszczęśliwy nie jestem.

Niedrażewski patrzył na niego z pewnego rodzaju przerażeniem.

— Uwielbiam twoją moc duszy — rzekł po cichu... — Wyznaję, że ja bym się na to zdobyć nie potrafił, i gdybym na próbę podobną miał być wystawionym, wolałbym małą podłość popełnić, niż się na nią narazić.

— Mówisz tak, — odpowiedział Aureli — bo się w tobie serce nie poruszyło... które człowieka jedno całkiem może przerobić.

— Serce? — podchwycił zdumiony Niedrażewski — serce? a więc, chyba znowu... Hrabina...

— A, cóż znowu! Nie myślę wcale o Eleonorze — rozśmiał się Żabiec... — Przekonałem się, żeś miał słuszność, na jej serce wcale rachować nie mogłem... Śmiej się, jeśli chcesz, wierz czy nie — serce moje poruszyła stara, biedna jak ja, osierocona Winnicka, która mi pewne współczucie okazała...

Niedrażewski, złożywszy ręce jak do modlitwy, z poszanowaniem się pokłonił.

— Co chcesz, Wicku! Są rzeczy, jak pono Shakespeare powiedział, o których się filozofom

nie śniło... Do takich fenomenów należy moje nawrócenie, przez starą krewnę, do której się przywiązałem, czując, że ona dla mnie ma sympatją. Znalazłem w niej rodzinę, której mi brakło — nie jestem sam... Uczułem obowiązek stać się porządnym człowiekiem — dla niej... Nie powinna się wstydzić siostrzeńca pani z Czarnogrodzkich Winnicka.

Pan Wincenty zamilkł, nie chcąc się przyznać że w stan ducha przyjaciela wejść i zrozumieć go nie umiał. Sobie to tłumaczył po cichu tem, że chyba Aureli nie był... takiego rodu i krwi, która wymaga do życia pieszczonych warunków... Jabym tego nie potrafił — a w nim odezwała się krew nie zbyt wydelikacona długiemi wiekami ciężkiego jarzma niedostatku...

Przy improwizowanym objedzie wróciła starym przyjaciołom wesołość dawna. Pan Aureli starał się zepsutemu podniebieniu Niedrażewskiego uczynić tę ucztę o ile mógł znośną — ale mu się to nie bardzo powiodło.

Sam chodził do kuchni, wydobył co tylko gdzie mógł znaleźć najlepszego, dawał instrukcje kucharce co jak ma przyrządzić... ale Wincenty dławił się, chociaż chwalił i na talerzu misternie ukrywał niedojedzone przysmaki.... Przez cały czas pobytu nie wychodził ze zdumienia. Starzy przyjaciele zachowali dla siebie dawne serca, ale teraz się tak już nie rozumieli, nie sympatyzowali jak niegdyś.... Aureli stał się surowszym i pogląd na życie jego — doznał wielkich modyfikacyj.

Rodzina Czarnogrodzkich, z którą Winnicka wszelkie zerwała stosunki, dowiedziała się ze zdumieniem i wielkiem a nieprzyjemnem uczuciem, że ona w Warszawie dała się zbliżyć do siebie Żabcowi i przyznawała go za siostrzeńca.

Chociaż majątek jej był znacznie nadszarpnięty przez męża i dzieci, pozostawało jeszcze z niego tyle, iż odziedziczenie resztek tych dla Czarnogrodzkich obojętnem być nie mogło, postarali się więc o zbliżenie się do Winnickiej, posługując się niezwykłemi pośrednikami.

Skutkiem tego było, iż Winnicka wybrała się do Maczek znowu.

— Co myślisz, panie Aureli, — odezwała się do niego drugiego dnia, obszedłszy dom i opatrzywszy wszystkie kąty z Marcinowską — mnie Warszawa męczyć zaczyna. Gdybyś mi najął jakie trzy, cztery pokoiki, którebym sobie wyporządziła, tobym się tu do waćpana przeniosła? Będziesz miał zupełną swobodę. bo ja się do niczego mięszać nie chcę, zapłacę za siebie, pomogę do urządzenia się w domu, nie będziesz sam....

Kogo innego mogłoby to zastraszyć — ale już Żabiec znał dosyć starą Winnickę, aby się jej nie obawiać. Przyjął z wdzięcznością wniosek jej, ale z warunkiem, że mu za mieszkanie, pustkami stojące, płacić nie będzie....

Trochę więc na złość Czarnogrodzkim, a zresztą przez przywiązanie do siostrzana, Winnicka z wielkim pośpiechem i rozgłosem wyjechała do Maczek....

W rok potem Rzepski, który już tylko zwał się sługą Żabca, ale w istocie był na emeryturze, bo na oczy zapadł i nogami włóczył a niekiedy i kija potrzebował, znalazł się w Warszawie u Bernardynów na mszy, i postrzegła go panna Salomea.

Od bardzo dawna nie mając wiadomości żadnej o panu Aurelim, czatowała na niego u wyjścia. Rzepski z trudnością poznał ją po głosie, bo w istocie zmieniła się powierzchownie, nabrawszy ciała znacznie; a miała też teraz życie lepsze i swobodniejsze u starego kawalera, którego gospodarstwem i zbawieniem dusznem się zajmowała.

— Cóż u państwa słychać w Maczkach? — spytała — tyle czasuśmy się nie widzieli.

— Fiu! fiu! co u nas słychać! na wołowej skórze nie spisać — odparł Rzepski. — Pani Winnicka u nas mieszka...

— Toć przecie nie nowina — odpowiedziała Salomea, biorąc starego pod rękę.— Chodź waćpan do mnie na kawę, pogawędzimy.

— A no! — rzekł Rzepski — jeżeli nie daleko i nie wysoko?

— Na Krakowskiem i parter — dumnie rzekła Salusia — Chodź...

Po drodze nie ustawały pytania. Rzepski w początkach się wstrzymywał od odpowiedzi zbyt otwartych, w końcu dał się rozczulić i dobyć z siebie wszystko.

— Co by panna Salomea powiedziała, gdyby my się ożenili? — zagadnął.

— Kto? waćpan? — rozśmiała się stara panna.

Machnął ręką stary.

— Winnicka panu Aurelemu żonę znalazła — rzekł Rzepski, śmiejąc się — a to się tak zrobiło, powiadam pannie, jakby on ją sobie sam wyszukał! W tem sztuka! Gdyby mu kto chciał ją dać, nie byłby wziął... Tymczasem...

Nie kończąc Rzepski, śmiał się po cichu. Z poplątanego opowiadania starego sługi tyle się tylko dopytać mogła panna Salomea, iż dawna przyjaciółka Winnickiej, sąsiadka jej na wsi, przybyła do Warszawy dla widzenia się z nią, a miała z sobą córkę. Naturalnie musiała szukać swej Winnickiej w Maczkach, gdzie spędziła trzy dni.

Pan Aureli poznał w ten sposób pannę Klarę... i — chodząc z nią po ogrodzie, zawiązał naprzód przyjaźń braterską, gdyż siebie uważał za zbyt starego do kochania — ale w końcu miało się to zamknąć na kobiercu, przy ołtarzu...

— Panna uboga? — zapytała Salusia.

— Jedynaczka i wieś ma, co się zowie — rzekł Rzepski...

— Stara?

— Nie ma trzydziestu lat...

— Cóż? nie piękna?

— Owszem... jak łania! — odparł sługa — oho! tylko za jedno nie ręczę... kto z nich będzie panował. Już teraz panna Klara się rządzi tu... jak w domu... Ale my w Maczkach siedzieć nie

myślimy... Winnicka się wynosi do własnego majątku i ciągnie z sobą Aurelego... Wioska panny o miedzę...

Wysłuchawszy gawędy starego, zadumana panna Salomea zamruczała, jakby sama do siebie:

— A coby było, żebym ja w porę nie przyszła na Mokotowską ulicę? Jak Boga kocham nie ma na świecie sprawiedliwości... Do mnie nikt nie przyszedł w porę.

Magdeburg, 24. lipca 1884.

KONIEC.



Z DRUKARNI E. WINIARZA.



